
STEFANIA TATARÓWNA

■ ■ ■

LEGENDA i PRAWDA O MATCE



STEFANIA TATARÓWNA.

LEGENDA i PRAWDA O MATCE



Kolekcja
Emila Kornasia

K R A K Ó W

SKŁAD GŁÓWNY: GEBETHNER i WOLFF, KRAKÓW

DRUKARNIA POZNAŃSKA PAWŁA MADEJSKIEGO
w Krakowie, ul. św. Tomasza 14. — Telefon 142-42.

1 9 3 9

CM KEK

317085

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 46/2012/CM

Cienie.

Przeszłości, kto cię zobaczył, kto oddać potrafi w słowie?

Ani ten, co Cię widział oczyma, ani ten, co jeno duszą.

Oczy dawne zasłoniły nowe obrazy, na duszę kładły ręce mary
inne i z dalekiego wczoraj i jutra jeszcze dalszego.

A wszystko przysłoniło dziś żywe i wołające. Ani tu co
pomogą poźółkle litery, dumnie źródłami twemi zwane,
ani długie, mozolne ksiąg niezliczonych czytanie. Obraz
twój coraz inny będzie, nigdy taki, jakąś byłaś wtedy.
Może tylko czasem pomoże na chwilę jedną patrzenie
wiernym sercem i najgłębsza, ze zrozumienia idąca,
pokora. Wtedy ujrzeć może przez te poźółkle pergaminy
i księgi twój nikły cień.

Drżał będzie w jasny, pogodny dzień od słońca.

Za cieniem tęsknię, cienia szukam w tej Księdze.

Cienia jednej cudownej postaci.

I cienia litewskiego dworu.

I starego, pięknego miasta.

I dziecka, co miało być wolnym człowiekiem.

I cienia tych z przeszłości, co mu ręce kładli na duszę.

I śpiewali pieśń słoneczną.

W której były surmy bojowe i szczęk zwycięskiego miecza.

A potem kajdan uderzenie ponure, niewoli udręka, by
zaszarpać.

Ale zawsze duma wolnego człowieka, ale zawsze wiara
w Polskę.

I zawsze widzenie jutra i zawsze ukochanie Aniola.

Cienie najpiękniejsze, cienie niedalekie, czy Was przywołać
zdoła dusza?

Leciały ptaki.

Leciały ptaki z dalekiego morza, leciały wysoko, wysoko. Dniem i nocą leciały, przez góry i rzeki, przez jeziora i łąki, na północ. — Czuć w ich szumieniu skrzydeł było jeszcze oddech błękitnego morza —
swobodny, olbrzymi, cichy —
Widać w ich patrzeniu było dalekość morskiego spojrzenia i spokój, spokój nieskończoności.

Leciały ptaki swobodne, szare ptaki na północ — Od błękitnego morza —

Czuć w ich patrzeniu było słońce płonące. Całe roześmiane, bez żadnej chmury. Szukały chłodu północy. I pięknego drzewa na mieszkanie. Takiego, które pokrywają białe kwiaty. Białe kwiaty dające owoce.

Już przeleciały śnieżne szczyty Alp, zaróżowionych zorzą poranną. I pokłoniły się szczytom —

I pokłoniły się ciszy —

Olbrzymi, radości pełen krzyk rozwarł im skrzydła płonące —

A potem korny szum piór na pochwałę tej zamarłej piękności.

Potem nad łąkami, nad rzekami i nad kwiatami niebieskimi i żółtymi chwiały się lekko, radośnie.

Znów przeleciały dzikie szczyty Tatr.

Nad kamiennymi ich twarzami odpoczęły trochę, oddychając piersią całą —

Czy nie tu zamieszkać?

Ale poleciały dalej —

Nad lasami, nad złotą pszenicą i rozkołysanem żytem, aż stanęły zmęczone w ogrodzie. W cudnym ogrodzie na Litwie.

Naprzeciw jednego polskiego dworu w Zułowie.

Gdy na drzewach były białe kwiaty, gdy słońce świeciło bez chmur, jak w ich błękitnej ojczyźnie.

Zobaczono we dworze ptaki i cieszą się, że niosą dobrą nowinę.



W Zułowie.

Dwór w Zułowie należał do najpiękniejszych w ziemi wileńskiej.

Nosił na sobie piętno polskich dworów, wyrażające się nie tylko w pewnych wspólnych im cechach, ale w jakiejś nieuchwytniej dostojności i w tym nastroju, jaki wytwarzały przez budowę i urządzenie, mówiące najlepiej o duszy właściciela. Był duży, sąsiedzi zwali go palacem, w jego wytworności czuć było sztukę. Ten, co go stawiał, miał duszę polską, pełną nieuchwytniej poezji i poczucia piękna i uwielbienie dla greckiej prostoty. A jednak czas zniszczył go bardzo i niewiele z dawnej świetności zostało.

Z ganku wchodziło się do wielkiej sieni, pełnej drogocennych zbroi i różnych trofeów myśliwskich. Były tam miecze ciężkie z rękojeściami, zdobnymi w klejnoty, drogocennej roboty, były tarcze bardzo stare, po różnych przodkach obu stron odziedziczone, i skóry rzadkich zwierząt i rogi.

Stamtąd szło się do sali jadalnej, gdzie wisiało mnóstwo portretów ważniejszych członków rodziny. Można by z nich odczytać całą historię dworu.

Mieszkała w Zułowie ciocia Stefania Lipmanówna, zwana ciocią Stenią, niedawno uwolniona z więzienia za pomoc powstańcom, również p. Celina Bukont, towa-

rzyszka lat dziecinnych dziedziczki jeszcze z Adamowa. Obie pomagały jej w gospodarstwie, opiece nad dziećmi i trosce o jej zdrowie, które niedomagało bardzo.

Ciocia Stenia знаła dokładnie historię wszystkich właścicieli portretów i opowiadała ją nieraz w długie zimowe wieczory. Od niej dowiedziano się o najrozmaitszych pokrewieństwach ze wszystkimi prawie ważniejszymi rodami Litwy tak ze strony pani, pochodzącej ze starej rodziny Bilewiczów na Żmudzi, dziedziczki Zułowa i wielu włości, jak ze strony pana dworu spowinowaconego z tyłoma rodami, że trudnoby właściwie wyliczyć szlacheckie nazwiska na Litwie, magnackich nie wyłączając, które by jakimś dalszym czy bliższym pokrewieństwem z tą rodziną nie były związane.

Szczególnie lubiła opowiadać ciocia Stenia (krewna pana domu) o księciu Ginecie, przodku rodu, który miał się odznaczać wielką walecznością.

Po nim też pozostało wedle tradycji parę najcenniejszych pamiątek, z nabożeństwem przechowywanych w rodzinie. Z wielkim rozrzewnieniem mówiła o tych, co w wojnach polegli, wymienić umiała dostojnych przodków, którzy wysokie godności dzierżyli w kraju.

I był wśród tych patrzących z portretów jeden taki, którego się wszyscy bali, bo go nikt bezkarnie obrazić nie mógł. O innym, którego cienkie usta na portrecie wykrzywił lekki śmiech, opowiadała, że był niezwykle wesoły i umarł, śmiejąc się także. Że ten człowiek nigdy nie płakał, umiał do śmiechu pobudzić każde towarzystwo i nawet ludzie w największym smutku pogrążeni, śmieli się, tak im zawsze coś wesołego umiał powiedzieć.

Koło dworu była prześliczna aleja lipowa. Takie stare, stare drzewa, każdego lata przecudnie pachnące, pamiętały chyba jeszcze Sobieskich. A dalej na końcu samym ogrodu, tuż nad samą rzeką Merą była druga aleja kalinowa, najpiękniejsza wtedy, gdy miała czerwone korale.

Aleję tę nazywano drogą zakochanych. Tam spacerowały zawsze pary narzeczonych. Szczególnie w jasne, księżycowe noce nigdy ta aleja samotną nie była.

W ogrodzie było dużo kwiatów. Ułożone w klomby lub grządki, stanowiły o różnych porach roku miłą dla oka rozrywkę i łączyły się z ogólnym nastrojem domu. Szczególnie kolorowo wyglądały jesienią. Wtedy roztaczało się koło domu bogactwo barw. Żółte liście wino harmonizowały cudownie z czerwonymi i jasnymi pelargoniami, odcień osobny stanowiły nagietki, a koronką zieloną otaczały brzegi klombów rezedy. Dalej istne morze astrów różnokolorowych, wśród nich wielkie chryzantemy. Ale największy urok miały klomby wtedy, gdy kwitły róże. Tyle było ich odmian, tyle kolorów. A wieczorami, gdy zapach ich złączył się z białymi liliami i gdy od krzaków szedł oddech jaśminu, odurzająca woń przypominała dalekie, południowe strony, znane dobrze niektórym dzieciom dworu, zapamiętałym podróżnikom.

Był między nimi jeden, jak opowiadała ciocia Stenia, który aż do głębi Afryki zawędrował i tam w pustyni zamieszkał w namiocie, a wszystko w pamiątnikach zostawił, przechowywanych w dużej bardzo starej szafie, na klucz zawsze zamkniętej.

W pokoju pana domu była wielka biblioteka. Składały się na nią pokolenia całe. Co tylko ciekawego pojawiło się drukiem, zbierano tu od dawnych lat. Najwięcej było dzieł historycznych. Była osobna szafa książek nie drukowanych, w których różni członkowie rodu zapisywali swe dzieje, łącząc je z tym, co się działo w kraju i zostawiali mądrość przez siebie zebraną młodszemu ku pouczeniu. Okna tego pokoju wychodziły właśnie na najpiękniejszy punkt ogrodu. Roztaczał się z nich widok rozległy aż do owej kalinowej alei i Mery na złote piaski i pola pofalowane. I najlepiej z tamtego okna słychać było śpiew albo ćwierkanie ptaszków. Było ono cudowną muzyką dla

tęgo, kto zatapiał się w mądrości ksiązek, a od czasu do czasu odrywał myśli od rzeczy dalekich i łączył się ze stworzeniem Bożym w podziwie nad pięknem tej ziemi. Bo ona miała dziwny urok. Można było przejechać kraje dalekie, przewędrować góry i morza, widzieć największe cuda świata, a zawsze wracało się tutaj z niezwykłą radością. Ona nie traciła na zestawieniu ze sławnymi krajami. Można nawet śmiało powiedzieć, że zyskiwała niepomrotnie. Nie było tu nic szczególnego, coby mogło zwabić rzesze zwiedzających, ale był jakiś nieuchwytny urok, szczególnie dla tych, co się z bliska wszystkiemu przypatrzeli, znali każdy nie od razu uchwytny szczegół i potem zestawiali to z obcymi rzeczami. To coś przeducznego, coś harmonijnego i wlewającego do duszy pogodę i ciszę było owocem żywotów tych wszystkich, co tu lata swe długie spędziwszy, więcej się starali o wartości wyższe, niż przemijające.

I była jeszcze rzecz jedna, może najważniejsza w tym dworze, która mu nadawała ten przemiły nastrój. Czulo się w nim Polskę. Nie przez żadne orły, ani kolory narodowe, nawet nie przez portrety historyczne, ale przez to głównie, że tu rzecz każda miała na sobie piętno rodzimej kultury. Te stare meble nosiły w sobie prostotę i wytworność jakiegoś domowego artysty, który na zamówienie znawcy swoje własne poczucie piękna w drzewie wypowiadał. Te słuckie pasy, ściany dobranymi barwami zdobiące, kilimy i makaty, choć nawet z dalekich stron nieraz przywiezione, składały się na całość harmonijną, wytworną, w której czuć było cechy polskiego smaku.

Karabele i szable, stare ławy pod ścianami i skrzynie dodawały jeszcze niektórym pokojom uroku dawności. Zdawało się, że tu wchodząc, przenosimy się myślą od teraźniejszości do jakichś prostych, dostojnych czasów, co były i obcujemy z ludźmi o wytwornej duszy, co nie potrzebowali wiele błyskotek i fraszek, a otaczali się poważnym a prostym pięknem.

Raz jednemu, który życie spędził za krajem i wrócił do domu w Zułowie, gdy tylko wszedł w progi dworu i tylko odetchnął jego powietrzem, a rozejrzał się po salach i wchłonął w duszę polskość, zawartą we wszystkim, co było, zaczęły płynąć po licach niezliczone, gęste łzy, których nie ocierał, którymi się radował, bo w nich mógł wydać z duszy swą tęsknotę i troskę i radość i szczęście, że się już wędrówka skończyła.

Dwór w Zułowie był jedyny. Dworu w Zułowie nie można było zapomnieć. Nie można było nie tęsknić za dworem w Zułowie. A za ogrodem pola pofałdowane, kolorowe, takie, jakie znalazły największego piewce na Litwie. Białe brzozy i lasy i pola samotne, ciche, z pieśnią skowronka i ćwierkaniem ptaszków gromady. Wśród takich pól dojrzewają myśli. Wśród takich pól bliżej człowieka do nieba i łatwiejsza rozmowa z Panem. Bezpośrednia, prawdziwa, szczerą.

A wtedy, gdy wszystko było rozkwiecione na samym początku wiosny, gdy ogród był biały i różowy od kwiatów jabłoni, czereśni i gruszy, wtedy się wyrwała z duszy pieśń. Nieśpiewana nigdy głośno, niewypowiedziana nigdy słowem, ale taka, która żyje w duszy i tworzy wartości bezcenne.

Zułowo zetknęło się bliżej ze światem, gdy zbudowano kolej do Wilna. Wtedy już niecałe dwie mile trzeba było jechać do stacji, ale sam dom nie na tym nie zyskał. Było tu zawsze gwaro i ludno, nawet w tych czasach, kiedy o kolei nikt jeszcze nie słyszał. Teraz po upadku powstania zaludnił się różnymi krewnymi i znajomymi, którzy w dostatnim domu przytułek znaleźli. Sąsiedzi także licznie przy każdej sposobności i bez sposobności odwiedzali Zułowo. Okoliczności było zawsze dosyć, choćby pominąć wszystkie imieniny i rocznice rodzinne, omal co roku były chrzciny nowo przybyłego potomka rodu. Jakby na potwierdzenie wróżby o bocianach, wijących gniazdo

koło domu, co roku spadał na Zułowo ten największy podarek w postaci córki lub syna. Małżeństwo było jeszcze bardzo młode, a miało już czworo dzieci. Dwie dziewczynki i dwóch synów. Ostatni urodził się właśnie przed kilku dniami, w jeden z pierwszych pogodnych dni grudniowych. Niedługo przedtem, jakby dla uczczenia tej chwili, przybyła do domu dalsza krewna dziedziczki, kuzynka jej dawno zmarłej babki Michałowskiej, jej imienniczka Elżbieta. Ku wielkiej radości rodziny objawiła wolę zamieszkania u nich na stałe.

Przyjechała ze wszystkimi cennymi rzeczami, jakie jej z całej wielkiej niegdyś fortuny zostały i zajęła pokój w rogu domu, z oknem na wschód zwróconym. To było jej jedyne życzenie, by miała widok na wschodzące słońce, gdyż będąc już bardzo starą, przyjechała tu doczekać się końca (tak powiedziała na wstępie) i chciała sobie co dnia przypominać, że po nocy wschodzi słońce, że więc będzie jej starość jaśniejsza przez to przypomnienie.

Bardzo, bardzo już była podeszła w latach, urodziła się bowiem jeszcze w zeszłym wieku. Była niegdyś bardzo bogata i słynna z urody, była damą na wielkim świecie, a teraz, jako wdowa, straciwszy syna jedyne w powstaniu, przybyła tu pędzić żywot samotny i cichy. Słyszeła niegdyś z wielkiego rozumu i nauki, a całe jej życie otoczone było jakąś tajemnicą, koło której snuła się legenda. Nie wiedział nikt, dlaczego tu przyszła do dalszej rodziny, nie mówiła też o tym nikomu. Raz tylko pani domu powiedziała, że ma spełnić jeszcze jedno ostatnie zadanie, a może najważniejsze ze wszystkich, jakie dotąd miała. Nikt, ani sama pani Maria nie rozumieli tego. Ale ona pojęła wszystko po śmierci babuni. Nazywała ją babunią, bo tak kazała, a powaga jej była tak wielka, że każdy rozkaz spełniano bez namysłu. Powaga to była osobliwa. W twarzy, ruchach, było coś, co nakazywało posłuch — jakiś majestat wyrzeźbiony długim, górnym żywotem, jakiś

błysk oczu, co wszystko zobaczywszy, spojrzał na samo dno przepaści, a z tego spojrzenia wyniósł wyrozumiałe przebaczenie i miłość.

Gdy ręką skinęła, zdawało się, że to wódz wydaje rozkazy, gdy otworzyła usta, myślało się, że przemawia królowa. A ona była pokorna i cicha i nie mówiła wiele do ludzi. Jedynie lubiła często obcować z panią domu, pokochała ją dziwnie prędko i prowadziła z nią długie, samotne rozmowy. Z niepokojem oczekiwała przyjsia na świat najmłodszego dziecka, a gdy szczęśliwie przyszło, zamknęła się na parę dni w swoim pokoju i nie mówiła do nikogo. Opowiadano, że pości i modli się na jego intencję.

Dary.

W słonecznym pokoju siedziała pani Maria przy kołysce syna. Była już późna jesień, niezwykle piękna tego roku i przedłużona na grudzień. Szła przez ogród przebogata melodia barw, choć tylko w trzech zasadniczych tonach, zieleni, czerwoności i złota, ale między tymi trzema tonami było całe morze odcieni różnorodnych, które otaczały tę cichą duszę jesieni. Nie było w tym jednak smutku, tylko niepojęta pogoda, jakieś wglądnięcie w siebie najlepszej istoty ziemi i zaświatowa już powaga z prawiecznych źródeł płynąca.

Godzina popołudniowa, bliska zachodu. Już płynęła poświata słoneczna na pola i mgły spadające.

Drżały lekkim blaskiem srebrno liliowym. Niebo stało się coraz bardziej kolorowe, jak tylko bywa późną, pogodną jesienią. Pani Maria pochyliła się na dzieckiem. Była bardzo szczęśliwa. Nigdy jeszcze nie czuła takiej radości macierzyństwa, jak dziś. To maleństwo, śpiące cicho w kołysce, było nie już częścią siebie, nie już duszą duszy,

ale czymś ze siebie najlepszym, najwyższym, czymś nieopisanie wielkim, przewyższającym całą jej istotę i najskrytsze marzenia. A że pierwszy raz czuła takie niepojęte rzeczy, nie pytała, skąd idą, tylko poddawała się bezwiednie jakiejś sile, w niej będącej, a jakby nie z niej poczętej i trwała w szczęściu. W takim szczęściu można trwać, nie wiedząc o świecie Bożym. Nie widziała niczego poza tym źródłem szczęścia, które cicho spało. Rozmawia z aniołkami — myślała, gdy na jego małej twarzy zajaśniał senny uśmiech, rozmawia z samym Bogiem, odważyła się pomyśleć w głębi tajemnej.

Do pokoju weszła Zośka, piastunka z gałązką w ręku.

— Cóż to za gałązkę niesiesz?

— To taka, co zakwitnie we wilię, mój podarunek dla panicza.

— Niech ją pani dziedziczka do wody włoży, a jeśli zakwitnie różowo, stanie się to, o czym mi się śniło, a o czym starsza pani pewnie wie, bo ona wie, co najskrytsze. A to jest wszystko, co mogę dać jemu paniczowi. Nic to, a z wielkiej podzięką za waszą dobroć pani. Takie nic, ale tego nie kupić za pieniądze, bo idzie ze serca. A co ze serca idzie, więcej warte, niż duże pieniądze.

Odeszła — gałązkę zostawiła w kołysce, a dziecko, budząc się, wyciągnęło do niej rączki i uśmiechnęło się tak, że matce ten uśmiech padł na samo dno duszy. Bo jest takie uchylenie ust dziecka, które mówi, a które rozumieć może tylko matka. Patrzali na siebie przez chwilę i mówili dużo do głębi swych istnień. On przez ten lekki uśmiech — a ona przez oczy, co wchłaniały głowę dziecięcia, wyciągającego rączki do świeżo ściętej gałązki. Dusze rozumiejące się do głębi, choć nie mogły na zewnątrz wydać tego mową. Ktoby tę chwilę oddać potrafił, pojąłby, że jest zrozumienie głębsze, niż słowa wydać mogą, na czuciu jakimś, nieznanym innym ludziom złożone i w tym świętym spojrzeniu matki, spojrzeniu,

które doszło do świadomości takiej małej istoty, o której się myśli, że nic jeszcze nie wie. A może to, co sobie wtedy powiedzieli, niemniej było ważne, niż tamto lat wiele potem, gdy jej usta już mówić nie mogły, a on był w kwiecie młodości. Nie igrał wtedy uśmiech na jego licach, tylko płynęły dwie gorzkie, skrywane łzy, a ona patrzyła wzrokiem, co już odchodził, a jeszcze mówić chciał. Może ta i tamta rozmowa podobna była w treści. Teraz jej się zdawało, że spełnia wolę dziecka, kładąc gałązkę zerwaną do wody. Miała podświadome uczucie, że to będzie dobre dla niego i pragnęła, by zakwitła różowo.

Przypomniała sobie niedawną historję o Zośce. Tak bardzo prosiła, by ją wziąć za piastunkę do dziecka, które niebawem przyjść miało. Choć nowej dziewczyny przyjmować nie chciała, bo już ich za wiele było we dworze, tym razem dała się ubłagać proszeniu. Bo Zośka nie miała nikogo na świecie. Nikogo a nikogo jak ziemia wielka, a było jej bardzo źle. Gdy jej kiedy było bardzo smutno i gdy ją wypędzano ze służby, zawsze szła popatrzeć na dwór w Zułowie — na te śliczne aleje i kwiatki, co tu pachną w ogrodzie i wciąż o tem myślała, jak tu dobrze być. Choćby harować cały dzień, byle się czasem spojrzeć na ten śliczny świat. Taki inny, niż wszędzie we wsi. Ale nigdy nie wierzyła, żeby to było dla niej. Dopiero teraz po jednym dziwnym śnie nabrała naraz odwagi. A sen był dziwny dlatego, że zobaczyła w nim panią dziedziczkę tak jak ją potem spotkała. Gdy szła przez ten park śliczny, a ona Zośka się do niego zakradła.

I objęła panią za nogi i tak ją bardzo a bardzo prosiła, że dobra pani wyraziła swą zgodę. A ona to już dobrze wyczytała w jej oczach, że ją przyjmie. Tak potem często opowiadała każdemu, kto chciał słuchać i mówiła o oczach pani, że są jak niebo dla wszystkich jednako dobre i nie umieją odepchnąć nikogo, choć był niskiego pochodzenia i biedny.

Babcię. Stryjem jest tylko dla dzieci, jak ona babcią dla nich, ale, że się tak nazywać kazala, więc on musi być stryjem. Dzisiaj przyniosła jej kartki, wyrażając pragnienie, by niektóre miejsca czytały razem. Zeszyt przyniósł przyjaciel po śmierci, jak dziś matkom wielu. Oni chcieli przekazać swe myśli bliskim swym i rodakom nie tylko na pamiątkę, na naukę. Kiedy mieli wolną chwilę, marzyli, gdy im było bardzo ciężko, dzielili się męką.

P. Maria pamięta tę chwilę smutną, gdy przyszedł do ich domu list od p. Elżbiety, — takie listy przychodziły do wszystkich, omal wokoło. I potem dopisek matki — Nie żałujcie, jestem dumna z niego. Takich dopisków nie było wiele.

Pamiętnik zaczynał się od wspomnień dawnego życia. Opisywał Tenuty, gdzie było tak dobrze w pięknym, rodzinnym parku. Cudowne, jesienne spacerzy, wśród kolorowych drzew, i widok młodego życia na wiosnę. Rajski żywot, który miał się tak prędko zakończyć. Gdy go dręczy teraz nędza ostateczna, gdy go gonią jak szczonego psa, a ciało gryzą dokuczliwe owady, to czasem błysnie myśl złuda o Tenutach. Pałac śliczny z dziełami sztuki, starożytnie meble przez prawdziwego artystę wykonane, ciche tykanie zegarów, i widok na park, gdy zimno, jak teraz i błoto na polu. Dumania, wyjazdy w świat daleki, bawili się nieraz tak z całej duszy. — Za to wszystko poszedł teraz na dobrowolną mękę. Zimno, nieraz trzeba leżeć na błotnej ziemi.

O matce mówi w pamiętnikach często, jak o kimś najmiłszym, najdroższym, a tak mądrym. Śmie twierdzić, że nie myliła się nigdy, że umiała przewidywać rzecz każdą. Ona tłumila jego próżne marzenie i odwracała do rzeczywistości. Tak w myślach, jak w czynach. Z nią mówić można było, jak z kimś, co do głębi zrozumie i pomóc potrafi duszy. Przez nią nie cierpiał nigdy i teraz spokojny jest w tym trudzie. Śmierć przyjmie także cicho,

bo go do niej przygotowała. A gdy się w pamiętniku spowiada, to zda się patrzy na nią i zawsze myśli, czy zadowolona z jego kroków.

Znów ma widać chwilę wolną, bo pisze wspomnienia, jeszcze wspomnienia. O takim cudnym, jasnym dworze na Żmudzi w Adamowie i jego królowie. Mieszkała w nim z dziadkiem sama p. Maria, a on, odwiedzając p. Bilewicza w jakichś ważnych sprawach, zobaczył ją i zapamiętał. Chował ją dziadek surowo, w posłuszeństwie, ubierał skromnie. Nie było w domu żadnych zbytków. Jakże śliczna wydała mu się odrazu w tej perkalikowej sukience niebieskiej w białe pasy, z długimi warkoczami. — Ten dom pod wielkimi lasami cichy, biały, gdzie czytano Kochanowskiego i Wujka. A ona była taka pogodna, a wiecznie zajęta. Stary dziadek, choć surowy wobec swej jedynaczki, kochał ją nad wyraz i dbał o przyszłość, gdy jego nie będzie. Nie umiał sobie tej przyszłości inaczej wyobrazić, jak widząc ją matką dobrych Polaków, i w tym kierunku szło jego wychowanie. Nie może zapomnieć tej chwili, gdy starym zwyczajem czytali razem. Nigdy rzeczy zabawnych, a tylko zawsze poezje i książki historyczne. Słyszał, jak deklamowali na pamięć znaną im rzecz, często powtarzaną, która go tak przejęła. „Wy, którzy Pospolitą Rzeczą władacie, I ludzką sprawiedliwość w rękę trzymacie“.

Starzec i wnuczka skupili się w tej pieśni i zdawało mu się, że słyszy prągłosy owych wieków nie mówione, a płynące melodią zapomnianą. Dowiedział się od niej, dlaczego to czyta tak często. — Bo, gdy Polska powstanie, to muszą pamiętać, co najważniejszego im powiedział Jan z Czarnolasu. A pewny był, że powstanie i to jej zawsze kazał powtarzać przy każdym pacierzu.

Dlaczego o tem piszę, pada pytanie w pamiętniku. Bo mi się zdaje, że tu była Polska najprawdziwsza, taka dostojna, taka piękna, jak wołanie Jana z Czarnolasu.

Starzec i młoda dziewczyna. On trochę despotyczny, jak szlachta nasza, ale bardzo kochający. Ona posłuszna, ale objawia sąd własny, gdy szło o rzeczy ważne.

Znam większość dworów na Litwie, objeżdżałem je, gdy się ruch przygotowywał, ale nigdzie nie znalazłem tyle polskiego ducha i takiej poezji. Pamiętam rok 62, gdy tam wróciłem. Było to po wędrówkach dalekich po świecie, głowa chłoneła hasła i myśli epoki, — żyłem głównie wśród ksiąg i zebrań. Już się naród podnosił, już znać było, że lada chwila wybuchnie. Dwory robiły przygotowania.

W Adamowie praca wrzała. Stary pan nie żałował niczego, by pomóc przyszlemu ruchowi. On i wnuczka byli zajęci przygotowaniem i tylko niem. Zobaczyłem wtedy, że młoda dziedziczka już się wyzwoliła z opieki, już się przygotowuje do życia samodzielnego, w którym wykaże mądrość żywą, tego byłem pewny. To, co wtedy mówiła, zostało mi na zawsze w duszy.

„Choćbyśmy jeszcze nie wygrali, to iść trzeba. Aby naród nie usnął w niewoli, aby pamiętał. I tak wygrać musimy“. To wiedziała od poetów, którym do głębi wierzyła. Ale nie, mówiła, że to czuje, że już ich dzieci nie zniosą. Mówiliśmy o wsi. Pamiętam te liczne zebrania, na których się marzyło tyle, a ona powiedziała na moje długie wywody tylko to: Nie będzie inaczej, dokąd się człek do człeka nie zbliży miłością. A nie było to gołosłowne, dowiedziałem się wkrótce, że była opiekunką wsi, że im dawała lekarstwa, pociechę, najbiedniejszym dary, sobie odjęte.

Tam poznałem p. Józefa, narzeczonego. Miał być w powstaniu komisarzem Rządu Narodowego. Łączyli się w służbie dla Polski. Z początku myślałem, że to dwa różne ludzkie typy, ale dziadek wiedział lepiej, różne, a uzupełniające się. On jej dał opiekę i powiedział przez życie dobrze, pewnie.

Będzie umiał strzec skarbu, pomyślałem. I wtedy ujął mnie żal, jak kogoś, co przeszedł koło szczęścia i minął, a patrzeć musi, jak kto inny zobaczył i będzie jego.

Wyjechałem niedługo. Matka odgadła smutek, niewytłumaczony. Zrozumiała wszystko, umiała wskazać pociechę. Nieraz nazywała mnie romantykiem, wiedziała, że to spóźniony twór. Teraz idą cierpienia realne, nie wyimaginowane. Ani chwili nie wahała się, by mnie oddać sprawie. Wszystko przemija, mówiła, tylko to, co złęczone z duchem, trwa. Kto, zginie, żyć będzie wiecznie. A jednak miała mnie tylko jednego i nic już więcej.

Czemu mi było potrzeba tego pożegnania? Chciałem, by wiedziała, że idę, by mi dała błogosławieństwo. Zda mi się, że to wczoraj jeszcze. Mówiła o zwycięstwie, choć wiem, że nie wierzyła. Krzyżyk zrobiła nad moją głową, krzyżyk, który mi stygmatem zaznaczył skroń, z nim będę umierać spokojny. Nigdy, przenigdy nie stanę już na progu tego domu, gdzie kwitnie szczęście, nikt mi nie położy krzyża na czole, gdy będę szedł do innych światów.

P. Maria przerywa pamiętnik. Takbym wiedzieć chciała o życiu babuni, czy zaznała szczęścia, skąd zdobyła tyle mądrości życia?

Widzisz, szczęście znalazłam, kosztowało mnie bardzo wiele, ale trwa. To nie to, co myślisz, mam szczęście poznania. Ponad nie niema na świecie nic. A to, co ludzie szczęściem nazywają, miałam też, aż nadto wiele. Minęło bez śladu, nie żałowałam wcale.

Szli i śpiewali.

Nadszedł dzień dżdżysty i ponury, po pięknej jesieni. W ogrodzie opadły już liście, puste gałązki pochylały się smutnie w takt wiatru, który świszczwał ponuro i jedno-

stajnie. Palono już w pokojach i mile ciepło kazało zapominać o przykrej jesieni. Życie całe przeszło od pól do wnętrza domu. Zbierano się więc częściej, więcej czytano wspólnie i w swoich pokojach.

Pani domu codziennie podlewała swoją gałązkę, która dotąd nie okazywała żadnej zmiany. Choć rozumem nie dawała wiary przepowiedniom dziewczyny, to jednak w głębi duszy była pewną, że się spełnią i pragnęła gorąco, by zakwitła zerwana gałązka. Dziś po raz pierwszy zobaczyła, że pęka, jak drzewa na wiosnę. Uradowała się. Oczom własnym nie chciała wierzyć. Przemocą ciśnie się pytanie, czy kwiatki białe wypuści, czy czerwone.

Po kilku dniach niebytności, weszła do jej pokoju babunia i odgadła wszystko spojrzeniem. Nie mówiła jednak o gałązce, tylko się serdecznie przyglądała dziecku. Zauważyła, że patrzy tak, jakby widziało swoją matkę, choć zwykle dzieje się to znacznie później. A potem zapytała o pamiętnik.

Przeczytałam już cały. Cały jest w mojej duszy.

Dobrze, możesz o nim myśleć wiele. Niech te myśli otaczają małego. To będzie dla niego pancerzem. To będzie dla niego tarczą, gdy przyjdą ciężkie dni.

Widzisz, jesteśmy teraz połączone wspólną tajemnicą. Ale mnie już niedługo znaczone. — Chciałabym z tobą mówić o tem często. Połączyli się teraz razem, tamten i ten we mnie. Zdaje mi się, jakby — —

Ty sama to kiedyś zrozumiesz beze mnie. — Wtedy, gdy będziesz dopełniała zadania swego, jak ja teraz.

Pani Maria odczuła w tej chwili jej wolę, niepowiedzianą słowami, by czytały razem pamiętnik. Bo jeśli duszy wolno zstępować do ludzi, on jest z pewnością teraz z nimi.

Drzewa się chwiały za oknami, — wiatr jęczał załóżnie w ogrodzie, o szyby ciał drobny deszcz, gdy otworzyła kartki pamiętnika.

Było to czytanie nie od liter idące, a z samego dna duszy czującej, przed którą się nagle otwarły nieznane cudowne światy.

Dolecieć do nich można tylko myślą.

Dolecieć do nich umiała swem niezwykle kobiecem odczuciem, wrażliwem, jak powierzchnia cichego morza.

„Przemyślałam do głębi narodową sprawę. — Przemyślałam przez dni i nocę, przez księgi i świadectwa historii, przez nasze długie zebrania i dysputy i doszedłem do jednego pewnika. Ten pewnik jest smutny; a jednak nie nie pomoże nasze pokolenie.

Nasze pokolenie jest przeznaczone na śmierć i iść na nią ma obowiązek. Oto cała esencja prawdy. Rachunek wypadł fatalnie. Naprzeciw siebie dwie siły, nazwałbym je krótko: materialna i duchowa. Jasne jest, że zwyciężyłaby duchowa, jak zawsze było i będzie, gdyby jej było trochę więcej, gdyby rachunek wypadł inaczej. Nie można złamać narodu, jeśli jest jednolitą siłą i patrzy wzwyż“.

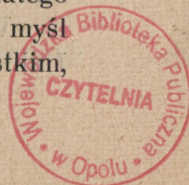
Potem była przerwa w pamiętniku, — kartki wyjęte przez babunię. A dalej nowa data. Znów wspomnienia.

„Pamiętam tę chwilę jedynej w życiu ekstazy, gdy szedłem do Horodta. Szedłem rozpaczą raczej pędzony, niż z świętej wiary, jak oni, a tam mi się przemieniła dusza.

Szedłem z pielgrzymami do ziemi świętej.

Tak mógłbym nazwać tych, co w ekstazie młodzieńczej różni wiekiem dążyli do Horodta.

Przez lasy i łąki, przez bagna i piaski, przez strumienie i wzgórza szliśmy tam, jakby na miejsce święte. Jakby się tam miało odbyć misterjum cudowne. Ci ludzie (szaleni wiarą), oczekiwali cudu. Poddawałem się ich egzaltacji. Ogarniało mię drżenie święte, czekające, zapatrzone w krzyż i Polskę. Bo oni szli pod temi dwoma hasłami. Nieśli braterstwo ludów w imię Polski. Dlatego pielgrzymowali do tego miejsca, skąd się pierwsza myśl wielka poczęła, unji narodów. Zdawało im się wszystkim,



że skoro tam staną, skoro ujrzą tę ziemię, która nosiła potężne żywoty tych, co myśl wieki wyprzedzającą w czyn wprowadzali, to wejdzie coś z ich ducha w piersi prawnuków i staną się choć na chwilę podobni im.

Szliśmy prędko, nie spoczywając prawie, byle odetchnąć raz ich powietrzem, byle usłyszeć szum drzew, potomków tamtych. Tak, jakby w powietrzu i liściach, w ziemi i wodzie coś z tamtego ducha zostało.

Śpiewali. — Całą drogę śpiewali pieśni. Moja dusza nie umiała wołać tym głosem. Ale się wzywałem w sens tego serdecznego wołania. Jęk duszy uciśnionej, nad miarę cierpiącej, jęk pokoleń całych za niespełnione marzenia, za sromotę, za poniżenie.

Dusza dostojna płakała, że ją znieważył brutal mocny. A we mnie buntowało się wszystko i nie mogłem się poddać skardze. Buntował się we mnie człowiek dawny, który na siłę odpowiadał siłą, a nie skargą i lamentem.

Ale myśmy przecież tej siły nie mieli.

Szli i śpiewali. Szli i płakali. Szli i skarżyli się Bogu. Przez kłosa pól z szumem złotym szła skarga żalosna. Przez kołysanie jasnych traw, przez łomotanie żurawich piór, przez kwiatów dzwonki, przez połysk motyli skrzydeł, razem ze wszystkim, co żyje szła i skarżyła się Bogu.

A ja nie mogłem skarżyć się z nimi i nie śpiewałem pieśni. Zerwała się we mnie burza zła, zawył szalony bunt. Chciałem targać tę duszę pokorną i przebić ją okiem pogardy. Niewolnicy! Stać was jeno na lzy. Stać was jeno na lament serca. — Ale się załamał mój bunt nagle, jak powstał, w jednej chwili.

Bowiem ich zobaczyłem, jak stali w obliczu wroga.

Bezbronni byli, zmęczeni, wniebowzięci, gdy przeciw nim stanęły rosyjskie bagnety.

Wojska uzbrojone na rozmodlone tłumy pątników. I skierowali broń w ich pierś.

A wtedy nie uląkł się nikt, nie zadrżał nikomu nawet na głowie włos.

Jak marmurowe posągi stali w milczącej pogardzie, a potem znów ozwał się śpiew.

Nie było w nim już skargi, lamentu, nie było narzekania. A jeno olbrzymia moc. Taka, co łamie piekielne potęgi — Dla której siła wojska śmiech.

Nieśli potęgę ducha.

Nieśli coś, co zwyciężyć musi.

Szli w tej świadomości, że idą na ofiarny stos za przyszłość, która będzie zwycięska. W triumfie szli duszy, widzącym jutro oczyma. Wtedy i z mojej piersi wyrwał się krzyk. — Wtedy i ja śpiewać począłem, patrząc w ostrze bagnetu z pogardą.

Bo cierpliwy jest naród mój nad ludzkie wyrazy, ale mu nie wolno zadrasnąć najlepszej części duszy.

„Niechaj się więc zjednoczą z nami miłością i braterstwem i staną się nam równymi“.

Przesyłały wieki wiekom swój testament.

Tak, jakby nigdy nie gasnące światło ciemnościom. Tak, jakby jakąś moc wielką, niedosięglą przez nic, co przemija.

Czułem wtedy nieśmiertelność.

Wtedy, w tem drzeniu moich towarzyszy, których ogarnął szal patriotycznego uczucia tak wielkiego, że aż przekraczało progi ojczyzny i stawało na najwyższych wyżynach ludzkości — ja czułem nieśmiertelność.

Namacalnie, jasno, wyraźnie, czułem, że w nich i we mnie mówi jakiś odwieczny pierwiastek siły potężnej, przez wieki zwalczanej, a tak przemożnej, że wobec niej dziecięcą złośliwością zdawały mi się wszystkie wymysły podłości ludzkiej. Przemina, jak kłosa ucięte, ale ona odrodzi nas na nowo w innych, co przyjdą.

Książd podniósł hostję świętą naprzeciw bagnetom

wroga w najcudniejszej tajemnicy Mszy świętej. Trzymał ją długo, długo nad schylonymi głowami.

Tysiące źrenic patrzyło w święty chleb.

Była cisza niepojęta, choć się zebralo ludu tysiące, jakby się jeszcze nie narodził człowiek.

Pani Maria czytać nie może dalej.

Padają na kartki łzy.

Cisza. Jakby nad niemi przeleciał anioł boży z nieoczekiwana nowiną.

On nie ze siebie wiedział to wszystko — przerywa pani Elżbieta. Powiedział mu ten, który najgłębiej zrozumiał naszą istotę, dno polskiej małości i nieba sięgające skrzydła.

On wierzył w Polskę.

Zobaczywszy całą nikczemność szarej, o sobie myślącej masy, nie zwątpił, a odnalazł w głębi duszy wieczyste mądrości.

Tyś mu o nim mówiła, — tyś mu czytała tę książkę, którą dałaś memu synowi?

Czytałam mu. Czytałam każde słowo. Do duszy mu wsączałam ich dźwięk, muzykę z nieba idącą. Rozkołysałam mu serce słowami, co szumiały jak fale wzburzonego oceanu. Rozchwiałałam mu ramiona tytanicznym lotem do słońca. — Widzisz, stąd jego wiedza o Polsce. Stąd myśli, do których by nie doszedł zwykły człek. Taki zwyczajny, mały człowiek, mój syn. Bo przecież byłabym niczem, takim zupełnie niczem, ja panienska z pałacu, ja motyl salonowy, puste cacko na stolikach wielkiego świata, gdyby nie oni. Widzisz, to jest rola wielkich duchów na ziemi — że przemieniają takich, jak my — a czasem umieją z nich zrobić naczynie cudowne, przez które przepływa wielkość na drugich.

Wielkich rzeczy byłby dokonał mój syn, gdyby żył w innej epoce.

Jeden raz.

Czyś go znała, czyś widziała kiedy tego, którego nazywaś tytanem?

Jeden, jedyny raz w życiu. Jeden i nigdy więcej. Niedługo potem już odszedł.

A wtedy unikał ludzi. Miał rzeczy ważniejsze do spełnienia, niż rozmowę z nimi. Żył tylko dla swego dzieła.

Ale raz, byłam w Pornic nad oceanem, gdzie spędzał ostatnie lata. Miałam nieprzewycięzoną ochotę wybrać się na samotną wycieczkę brzegiem oceanu. Był cichy, upalny dzień lata. Ale morze jeszcze nie uspokoiło się po wczorajszej burzy i rzucało białe, olbrzymie fale o skaliste brzegi. Szłam ścieżką pod skałami, wijącą się wśród ogrodów. Złociły się w niej brzoskwinie i czerwieniły śliwy. Pachniały kwiaty wśród traw. Czulałam, że świat jest piękny. Ocean uderzał z nieprzerwanym uporem o skały, a mnie się zdawało, że on gra jakąś pieśń, przed wiekami zaczęta, a nam przekazaną. Łamało się słońce w białej pianie i woda zaczęła świecić, jak żywa. A mnie się zdawało, że w tych błyszczących diamentach widzę oczy, które już dawno zagasły na ziemi, a patrzą. — Byłam już daleko od domu. Zdawało mi się, że sama jedna między morzem, a skałami, gdy wtem na najwyższej z nich zobaczyłam człowieka. To był on. Tego jednak, co widziałam, opisać nie mogę słowami. Człowiek, ale nie było w nim już nic ludzkiego — żywy, ale jakby nie widział niczego, co go otacza. Wzrok jego topił się gdzieś w nieskończoności oceanu, jakby był częścią jego — i już takim tylko płomieniem, jaki widziałam z odbitego słońca. Zdawał się nie słyszeć szalonego loskotu fal o jego brzegi, albo i jeśli je słyszał, to już nie szum dla zwykłych uszu słyszany, ale prawdziwą pieśń, której pojąć nie mogłam, z której dochodziły mnie tylko poszczególne tony. W duszy

mojej żyją jeszcze jego oczy. To coś, czego wyrwać nie może żaden czas. Chyba anioł pański tak patrzy, gdy wraca na odpoczynek do nieba, spełniwszy tu rozkaz boży.

Jakaś siła dziwna przykuwała mnie do miejsca, chciałam obraz tego człowieka wchłonąć w duszę.

Wiedziałam, że mu nie przeszkadzam, bo mnie nie widział, jak zresztą niczego, co go otaczało. Postanowiłam czekać, aż będzie wracać do domu i wtedy przemówić do niego.

Doczekałam się wreszcie, ale wpierw słońce zanurzyło się w oceanie i wygrało jeszcze najpiękniejszą pieśń barw na niebie i falach.

Nie widziałam nigdy takiej i już nigdy nie zobaczę. Ani ci opisać mogę tego, co się wtedy działo. Bo cóż ci oddadzą słowa, że ta olbrzymia przestrzeń wód stała się w jednej chwili złota, kiedy to nie było złoto ziemi, jakie łączycie ze światowym blaskiem — albo, że natężyła swe światło aż do czerwoności, kiedy nie było w niej nic z pychy purpury, ani okrucieństwa krwi, lub, że potem rozprysły się fale na złote i czerwone skrzydła, że znów zbladły i tworzyły senne, ciche róże, płynące po coraz spokojniejszej wodzie. Wszystko, cobym powiedzieć mogła, to tylko słowa, któremi dzieci określają coś, co im się podoba, ale jak je ta rzecz cieszy, poznać może tylko matka z błysku spojrzeń i uśmiechu twarzy.

Odszedł dopiero, gdy już zrobiło się szaro. Śmiałam zastąpić mu drogę. Już otworzyłam usta do przemówienia w imię ojczyzny, ale na twarzy jego zobaczyłam uśmiech i zrozumiałam. W tym uśmiechu była cała jego dusza. Nie tylko ta, jaką zobaczyć można w uśmiechu Monny Lizy, w której twarz nauczono się patrzeć i czytać, ale dusza kogoś, kto rozmawiał przed chwilą z Bogiem.

Zrozumiałam. Cofnęłam się szybko za skałę i ten uśmiech noszę na dnie serca, tam, gdzie są największe świętości. Ach, gdyby jeszcze kiedy mógł się pojawić taki uśmiech na twarzy...

Widzisz ja myślę, ja myślę w niewypowiedzianym szczęściu, że on wtedy zobaczył tę chwilę, gdy go przez morze wieść będą do wolnej ojczyzny. Unosić się będzie nad swymi zwłokami i do sumienia wołać tych, co ten dzień zobaczyli.

A za trumną jego do grobu kroczyć musi ktoś, komu naród odda władzę za czyn.

Za czyn, idący z ducha tego Tytana.

Na dworze ucichnął wicher. W powietrzu była cisza szalona.

Taka cisza, jakby w dzień sądu ostatecznego.

Idziemy sami.

Nie chciała wierzyć oczom swoim, gdy obudziła się rano. Padły wtedy na gałązkę, która była pokryta kwieciami różowym.

Przerażenie i radość szalona.

Próżno stara się wmówić w siebie, że wstydzi się wierzyć we wróżby, próżno starała się rozumem uciszyć bicie serca. Nad wszystko przebijała pewność, że się stanie to, o czym myślała wtedy.

Babunia nie pozwalała jeszcze Zośce bawić małego. Kazała ją tylko przygotować i pracowała nad nią sama. Mówiła, że Zośka musi pokonać wiele w sobie nienawiści ludzi, nim się do niego zbliży.

Choć tego zrozumieć nie mogła, dlaczego myśli Zośki mogą dziecku szkodzić, przecież tak wierzyła w wyższość rozumu babuni, że wykonywała zawsze jej wolę. A małego tymczasem bawiła sama, dzieląc się tym zajęciem ze staruszką.

Pani Elżbieta czyniła to z niebywałą w jej wieku energią i radością.

Widzisz — zdaje mi się wciąż, że to mój Jaś ma-
leńki. To moje ostatnie szczęście już na ziemi.

Ale Jasia nie bawiła babunia sama?

Wtedy tak. Już nie byłam ową istotą nieużyteczną
dla nikogo, żyjącą z cudzych rąk.

Uważałam go za niespodziewany Boży dar i strzegłam,
strzegłam jak oka w głowie sama, zazdrosna nawet o pia-
stunki. Teraz tak samo kocham Ziuka twego i mego.

Tak w związku z tą kwitnącą gałązką. I już go tak
będę nazywać.

Ach, jakże cudnie zakwitła gałązka.

Zakwitła w wigilię świętą.

I nagle niespodziewanie powiedziała:

Przeczytajmy przy niej kawalek pamiętnika.

„Czekamy, czekamy w lesie. Garsteczka taka mała,
z bronią o jakiej mówić wstyd.

Tak nędznie ubrani.

Czekamy, czekamy na innych, co mieli przyjść.

Nie przychodzą.

Wołali, wołali tak głośno, a teraz nie ma ich. A puszcza
się śmieje drzewami, śmieje się pukaniem dziecięcia, śmieje
się skrzypieniem śniegu. Padają białe płatki. Zakrywają
zwiędłe liście.

Pożądany był niegdyś taki śnieg, gdyśmy szli na po-
lowanie. Zabijać niewinne stworzenia Boże. — Z jakąże
trwogą umykał nam zajęć z pod nóg, trząsł się każdą
kruszyną ciała, a panicz się jasny śmiał — że to stwo-
rzenie takie tchórzliwe.

A teraz stchórzył sam.

Zobaczyła lufę strzelby sarenka i olbrzymie cudne oko
zaszło jej łzą.

Zapłakała jak dziecko żałośnie.

A człowiek jej posłał kulę w samo serce. — W takie
biedne, płaczące serce i zdziwił się nad sobą, że dobrze
trafić umie.

A teraz nie przyszedł na ten przesmutny bój. Sami
pójdziemy, sami.

Zdecydowani szaleńcy — czerwoni szaleńcy.

Idziemy zabijać człowieka.

A nie będzie cząstki nawet tej zbrodni, gdy się be-
dziemy cieszyć jego krwią, niż wtedy, gdy padała sarenka
postrzelona.

Taki cichy, zimny las. Tak nam urąga konarami.
Mieli przyjść, a nie przyszli. Zostawili garstkę szalonych,
niech idą sami.

Niedawno, zeszłego jeszcze roku, jechali tędy kuli-
giem. Był właśnie karnawał, jaki i teraz jest.

Jakie malownicze sanie kolorowe.

Złote mają dzwoneczki i srebrne upręże.

Butnie migają kontusze, brylanty i czaple pióra. Delije
i złote pasy. Aksamity i adamaszki. Muzyka od ucha gra.
Każde drzewo wtóruje echem.

Zabrzmiały rogi przez las. I cygańskie dzwoneczki
i błazeńskie bębenki i skrzypek i bas i trąba, trąba
mosiężna, a nawet żydowskie cymbałki.

Wszystko gra. Przeleciał męski śpiew, przeleciał przez
las z głosem dziewczęcym zmieszany.

Jakże wesoly jest świat, o jakże miły jest świat.

A teraz stoimy sami. Nie przyszli taneczni panowie.
Czekamy, czekamy na znak.

Ci, co dać mieli hasło, widocznie zapomnieli.

A może jeszcze śpią.

A może przyszliśmy za wcześnie. Bo jeszcze ciemna
noc. Taka właśnie, jak wtedy, gdyśmy jechali kuligiem.

Za drzewami światełka gasną.

Tu i tam.

To idą, to idą nasi.

O jakże mało nas!

Lecz pono nie liczba zwycięża.

Nie liczba zwycięża żołnierze!

A potem nam będą urągać. Z motyką na słońce szli. Niech na nich padnie krew. Przelali ją dla uporu i pychy.

Nie poradzili się rozumu, co kazał czekać i zaciskać pięści.

Póki nie przyjdzie lepszy czas.

Nie idą. Zaciskają pięści“.

Teraz babunia przerwała czytanie.

Czy szukałaś tego miejsca umyślnie?

Nie babciu, dziś zawierzyłam losowi, dziś czekałam, gdzie się otworzy samo.

Chciał nam to powiedzieć w ten wigilijny dzień.

Skarży się. O, jeśli on się skarżył, to musiała być okropna rzecz. Prawda, że nie ludziom to mówi, a sobie. Ale, że te myśli wtedy miał. Widzisz, tak było i będzie, tak zawsze było i będzie, dokąd się nie zmieni ta ziemia.

A czy się kiedy przemieni?

Uśmiechnęła się dobrotliwie.

Za parę lat może się Ziuk o to zapyta. Odpowiesz dziecku, jak ja tobie dzisiaj, że przemieniają ją silne duchy. Kto silny, niech nie pyta, a szuka młota. Wiem, żebyś mię pytać o ten młot chciała, ale ci to jeszcze nie jest potrzebne. Przyjdzie taki czas, że on ci zada pytanie, na które nie będziesz mogła odpowiedzieć.

To wtedy co, babuniu?

Wtedy on sobie odpowie sam, bowiem przerośnie ciebie po wielekroć razy.

Ale raz jeszcze zawierzmy losowi. Czytaj, gdzie się samo otworzy.

„Kto przeżył raz taką rzecz, temu tkwić będzie w wiecznej pamięci. Jakby jakiś ognisty słup widziany nagle w noc ciemną. Czterystu nas tylko, ani jednego więcej, a tamtych parę tysięcy. Armaty mieli i karabiny, a my tylko kosy od pola, a przecież dali nam wyjść z tej matni. Tylko krwawymi szlakami. Padaliśmy gęsto jeden

przy drugim. Była w nas dziwna, nie nasza, nie ludzka moc, gdyśmy szli tam z kosami na armaty. Taki ich ogarnął dziw, takie olbrzymie, straszne niezrozumienie, że uciekali przed nami.

Nie do pojęcia było dla nich, żeby człowiek urągał ze śmierci. Żeby pogardzał tem, co ma najcenniejszego tu, przez co posiada wszystko, co pokochał. Nie unikałem śmierci. Jeśli mam rzec prawdę, z głębi duszy wyjętą, pragnąłem jej. Ale mnie jeszcze nie chciała. A ja postanowiłem oddać się za największą cenę, nasycić się zemstą, zrobić jak najwięcej szkody im. O, niebywała nieznana mi nigdy rozkoszy, patrzeć na krew tego, kogo się nienawidzi!

Życie wtedy wydaje się takie lekkie, takie nic wobec tej siły, co gna. Gdzieś się zagubiła miłość człowieka, gdzieś się zatraciło wspomnienie braterstwa i widzisz tylko jedno; wroga pierś.

Taką okropną wolę wywołała we mnie krew przyjaciela. Tego, co padał w wiośnie lat, tego, co tak był kochany, za którym nie oschną nigdy łzy siostr i matki i ukochanej.

A gdyśmy już uchodzili z miasteczka, ogarnął nas nagle śmiech. Taki dziki, złośliwy, głupi. Że oni się nas przelękli i wypuścili. A mogli wszystkich wystrzelać.

Że im się zatrzęsło serce na widok naszej brawury.

A my byśmy byli zabili wszystkich, jak psy.

Dzieje te nazwą kiedyś bohaterstwem, a to był instynkt dziki, a to jest rozpętanie najniższych w człowieku mocy. A przecież nie mam dla siebie pogardy, żem poczuł tę moc w sobie. Bo gdybyśmy jej nie czuli, a tylko oni, toby zalała ziemię ich płaska, niewolna dusza. I zapanałaby na świecie noc wieczna.

A ja chcę, by zwyciężyła nasza dusza. Ta, o której powiedział poeta, że jest anielska.

I to jest najsmutniejsze na świecie, że do jej zwycięstwa inna nie wiedzie droga.

Pani Maria przerywa. Wzrok pytający na babkę.

Widzisz, tu zaczynają się moje wątpliwości, czy inna nie wiedzie droga. Bo jeśli rację miał mój poeta, to tego wcale nie potrzeba.

Pamiętam słowa psalmu:

„Lecz wśród tych zdarzeń strasznego wybuchu

O czystą tylko prosimy Cię wolę

Wewnątrz nas samych Ojcie, Synu, Duchu”.

I wierzył, jak on, że wszystko inne stać się musi, bo już znaczone u Boga.

Pamiętam, jak ktoś z bliskich mi tłumaczył.

Bo czemuż jest ten świat, który walczy z wolą bożą, która chciała, by żyły narody i sama je uczyniła. Krnąbrnym dziecięciem, co igra z cierpliwością ojca. Jest jak szczeniátko głupie, co się rzuciło na pana swego, że przez chwilę chciał z nim pożartować. Niech tylko trochę za długo poigra, zobaczy boży gniew. Gdyby na siłę znała tylko siła, to przecież nie taka, jak nasza. Wysepką jesteśmy w środku wielkiego morza potęg tego świata i tylko zwycięstwo tamtego świata wyzwolić nas może.

Pani Elżbieta przejęła się tak bardzo tem, co miała odpowiedzieć, że na jej starej, pożółkłej twarzy wystąpiły ceglane plamy. Ale zapanowała nad głębokim wzruszeniem i w głosie jej już go poznać nie było.

Widzisz, on mówił do ludzi w niewoli, do bardzo słabych dusz. Mówił do takich, co już upaść mieli, z których już żadnej siły wydobyć nie mógł, prócz wiary. Aby tylko nie upadli na duchu. Jemu nie dane też było zobaczyć, co widział tamten. Nad przepaścią stanął, rzucił okropne pytanie i przeląkł się go i zadrżał. A potem się ukorzył i czekał. Ale do nowych ludzi, co idą, przemówić już nie był w stanie. Oni czekać nie mogą, oni muszą pokazać siłę.

Nie miesza się Pan w te sprawy, o jakich myślał on, a jeno musi sam każdy okupić swoją winę.

Duchem potężnym jest człek, to wiedz. Nie wolno wam tłumić wielkości. — Widzisz, nie wolno umniejszać wielkości.

Aby nie okazać wielkiego wzruszenia, które ją opadowało, wstała i wyszła prędko.

Wigilja.

Wigilja. — Słowo święte, niezapomniane.

Śnić się będzie długo, długo owa wilja cudowna dziecinnych lat, gdy wszystko było inne.

Inaczej padał śnieg, inaczej świeciły gwiazdy. I księżyc inaczej się śmiał i mróz był nie taki i drzewa innej białości.

W Zułowie radość od samego rana.

Starsze dzieci dostaną drzewko i podarunki. Tyle światel, tyle zabawek będzie na drzewku. Serduszko nie może pomieścić radości owego dnia cudownego, śmiały się promieniami oczy dziecięce.

Nie pojmie nikt, nie wyrozumie, skąd ta radość niepomierna.

Stary nie, bo jej już nie czuje, a młody, bo jest jego.

Jego cudowna, jedyna chwila, nigdy potem więcej.

Ani sercem, ani rozumem nie pojmie, skąd się to wzięło.

Dziewczynki poszły z p. Celiną do lasu, bo im trudno doczekać się do wieczery.

Kiedy ta pierwsza gwiazdka zaświeci, kiedy będą nakrywać do stołu.

Idą przez las białą i cichą, a śnieg pada i pada cały dzień. Nie słyhać go nic, wiatru nie ma ani trochę. Tylko wszędzie ten biały puch, taki czysty, taki zimny.

Dlaczego się drzewa nie cieszą?

Czy dla nich nie ma wilji?

Czy do nich nie przyjdzie aniołek?

U nich już jest — u nich już jest.

Opowiada bajkę — prawdę. Taką cudną, przedziwną,
nie do wiary.

O Dzieciątku, co przyszło na świat i nauczyło cały
świat kochania.

Dziewczynki skaczą po śniegu i cieszą się inaczej, niż
codzień, lasem.

Jakby od tego lasu szła nowina cudowna, której nie
mogą zrozumieć starzy, a którą dzieci słyszą.

Nie o nowej lalce, nie o nowej ślicznej sukience, ale
coś przedziwnego, czego nie słyszy nikt, kto nie jest już
dzieckiem.

Może to aniołek, który przyjdzie do domu wieczorem,
szepce coś teraz w lesie?

Może on gra za drzewami?

Ale tylko dzieci muzykę słyszały, tylko jedynie dla
dzieci to granie.

Nie chciały wracać do domu — tak dobrze im było
w lesie. Takim białym, zaczarowanym.

A tam już stół nakryty, a tam już pachnie sianem i przy
każdym talerzu coś położone.

To aniołek coś przyniósł każdemu.

Aniołek przez ręce babuni.

Cały dzień pracowała nad tem i myślała przy tem
w głębi duszy.

Może to moja ostatnia wigilja. Nie zasiądę już więcej
z niemi.

I kiedy to myślała, przed oczy jej stawały wigilje
dawnych lat — od czasu, kiedy sama była dzieckiem.

Nie chciałaby ich powrotu, choć jej się wydały takie
szczęśliwe. Ale inne jest szczęście dziecka, a inne czło-
wieka, co odchodzi. Pojął już i zrozumiał tyle, że nie może
się cieszyć pozorem rzeczy.

Tęsknota za tem, co wieczne, większą jest, niż

wszystko, czem ziemia cieszyć może. Więc choćby ja nawet
obdarzyć miała — pozorem dawnej młodości, nie chciałaby
tego dusza.

Te wigilje cudowne w Tenutach, a potem na obczyźnie
ze wszystkimi wspomnieniami kraju, kiedy ją otaczał
przepych i wszystkie radości świata, wydają się jej teraz
zabawką tylko, nie wartą spojrzenia jednego.

Nie pragnie, nie pragnie powrotu.

Babunia znaczyła swój ślad bytności między nimi
głośnym czytaniem biblij przed wieczorą. Tak, jak było
dawno, bardzo dawno w polskich domach i czego ślad
nawet zaginął.

I była wieczera, powagi pełna i pogody, jej ostatnia
wieczera z niemi.

Bo, choć jeszcze żyła potem, do stołu wigilijnego nie
zasiadła już nigdy.

A tym, co wtedy z nią byli, zostały na później tylko
jakieś zamglone obrazy. Obrazy poezji pełne i niewypo-
wiedzianej pogody.

Kiedy na polu padał cichy śnieg,

Kiedy gwiazdy wigilijne świeciły,

Kiedy płonęło drzewko, a przy niem

gromada, śpiewająca kolędy.

Wszyscy razem, panowie i służba i ludzie ze wsi.

Wszystko tak samo, jak innych lat i jak u innych
ludzi, a przecież zupełnie inaczej.

Tak, zupełnie, zupełnie inaczej.

I śpiewano kolędę powstańczą:

Chrystus się narodził

Przyjął człowieczeństwo,

By nas oswobodził

Zniszczył odszczepieństwo.

Chrześcijananie wkoło

Śpiewajmy wesoło

Hej kolęda, kolęda!

Na Twe narodzenie,
Cóż Ci Jezu damy?
Samo umartwienie
I niedolę znamy.
Drogie nam ofiary
Pochłonał rok stary
Hej kolęda, kolęda!
Hej skowronek już śpiewa
Wnet rozkwitną się drzewa
Wnet
Bierzwa kosy ze stali
Wypędziwa Moskali
Het.

A potem inne, wszystkim znane, zawsze śpiewane.
A gdyby kto zajrzał wtedy przez okno, toby mu został
w duszy ten czar święty, jaki stamtąd szedł.

Od czarno ubranej babuni, z krzyżem złotym na sta-
rym łańcuchu, która czytała słowa biblij.

Od głębokich jasnych oczu pani domu, koło której
stały dwie dziewczynki i chłopczyk maleńki.

Od tego, co leżał w kołysce, a sływał na niego głos
kolędy powstańczej.

I od drzewka rozświeconego z Zułowskiego lasu. Lasu,
gdzie mieszka zaduma i cisza.

I z ust śpiewających pobożnych.

I z tego, że wszystko spłynęło na tej fali okrutnej,
która niema początku, ni końca.

I że nigdy powrócić nie może.

Z okien jadalni roztaczał się widok daleki na aleje
parkowe aż do sadu. Stara aleja lipowa patrzyła w ciszy,
oblepiona całą białym puchem. Za nią szło się wzrokiem
na brzozy.

W jesieni opadały im płaczące warkocze liści, a teraz
wyglądały, jak białe żałobnice nad grobem młodego życia.
A za niemi świerkowy las zaznaczał się ciemną zielenią,
która przeświecała przez śnieg.

Była taka sama noc cudowna, kiedy jadła z nim
wigilję ostatnią.

Poszedł niedługo potem.

Jedyny nadzieja przyszłości.

Jeszcze po wieczerzy, gdy już dawno zcichły głosy ko-
lędy, dzieci spały, domownicy rozeszli się do siebie, czy-
tała w swoim pokoju głośno, sama przed sobą te prze-
drogie kartki pamiętnika, pisane do niej jednej tylko.

Matko, tyś mi mówiła rzeczy wielkie, przynigdy nie-
zapomniane. Przypominam je sobie, gdy mi jest bardzo
źle. Przypominam i wierzę wbrew rzeczywistości. Nie dla-
tego wierzę, żeś ty mi mówiła, że mi najukochańsze
wszystkie twoje słowa, ale dlatego, że zrozumiałem sam.

Bo dopiero tutaj zrozumiałem do głębi.

Widzę Twoje spokojne, błękitne oczy, jak mię pytają
dlaczego. Dlaczego teraz wierzysz?

A ja ci na to nie potrafię odpowiedzieć słowami.

Może dlatego właśnie, że byli tacy szaleńcy na świe-
cie, co szli. Co szli wbrew wszelkiej nadziei dla honoru
narodu. Tacy szaleni, co wśród okropnego mrozu i głodu
myśla o jutrze świata.

Teraz wiem, że idziemy nie za Polskę tylko, a za
jutro świata. Bo sprawa nasza dziś przegrać musi, ale to,
co zrobimy, przeorze dusze ludzkie.

Widzisz, czy potrafiłabyś uwierzyć, że będzie kiedyś
inaczej na ziemi, gdybyśmy wszyscy cierpliwie czekali na
zmianę?

Któżby ją zrobił, kto?

Czy by nas nie zwyciężyła raczej szarość wygodnego
życia, jednych poezja polskiego dworku, innych cicha nie-
wola, bez głodu w dostatkach i spokój, spokój, spokój.

O matko, gdy już odejdę dla sprawy, czy nie będę
istniał w twym sercu?

Czy raczej to miejsce po mnie nie będzie ci stokroć
droższe, niż ja żywy, pospolity człowiek?

Jakaś prawdę wielką jej powiedział.

Prawdę, którą się widzi dopiero na końcu.

Nie mógł jej największy mędrzec zostawić większej pociechy. Nie płakała, nie płakała już nigdy za nim. Przecież żył życiem wiecznym. Przecież jest teraz koło niej, żyje w jej oczach, żyje w nowym pokoleniu. Oni o nim wiedzieć będą i iść w jego imię.

Będą razem zwyciężać.

On z nimi.

W tej wielkiej chwili powstania ojczyzny on będzie żyć, choć jej już dawno nie będzie.

Schowała najdroższe kartki, zasnęła cicho w fotelu.

Wiosna.

Tego roku wcześniej, niż zwykle, skończyła się zima. Nagle przyszedł wiatr od południa i stopił prędko śniegi po polach. Przed samą Wielkanocą było już ciepło i trawy zaczęły się zielenić. Budziła się ziemia nagle. Szła od niej radość tworzenia. Pachniał las, pachniał ogród owocowy i już miał całe morze białych kwiatów. Fiołki już wyszły z trawy i pokorna ich woń nadawała ton zasadniczy zapachowi ziemi. Wywożono Ziuka do ogrodu.

Dziecko było silne, zarumienione, rączkami chwytalo poręcze wózka i podnosiło się samo. Wtedy babunia zakażała go krępować. Głośny, dźwięczny uśmiech, jako podzięką. W tym uśmiechu drżała radość całej maleńkiej istoty. Już Zośce odtąd wolno było bawić dziecko. Tylko przedtem wiele, wiele upomnień. Pamiętaj Zosiu...

A ona się śmiała.

Przecież ja lepiej, niż pani dziedziczka wiem, kogo noszę. Widziałam ja we śnie wszystko, a pani nie widzieli.

Uśmiech matki radosny.

A zresztą, choćbym ja była głupia i niezdara, (jak

nie jestem), to i tak temu paniczowi nic się stać nie może, dokąd nie zrobi wszystkiego, co ma być. Widzicie, musi zrobić wszystko, do końca, inaczej go nie puszcza, choćby się cały świat wziął na niego. Jakie ja tam kule widziała, a jakie straszne ludzkie gęby, gorsze, niż kule. I co? I nic z tego. Bo nad wszystkim jest boża moc. A co Bóg postanowił, to stać się musi.

Więc niech się pani dziedziczka nigdy o niego nie lęka, choćby go widziała w samym ogniu.

Jak będziesz miała swojego syna, to się zawsze o niego będziesz lękała, choćby ci cały świat mówił, że mu się nic nie stanie. Pamiętaj sobie, żem ci to mówiła.

Oddychała woń wiosenną z rozkoszą. Patrzyła na otwierające się liście i cudowną, pierwszą zieloność młodości.

Starsze dzieci bawiły się z panną Celiną, dziewczynki szukały fiołków, a Broniś stawiał niepewne jeszcze kroki obok p. Stasi.

Jakaś beztroska, jakiś cudny śmiech życia pogodnego, rozlała się wokoło. Przyszły jej na myśl słowa, które melodią cudowną do niej dziś przemawiały więcej, niż zwykle i dopiero dziś ich sens zrozumiała.

I zaprawdę, nasze dzieje,

Gdy nas srogi los połamie

Pachnąć będą w tym balsamie

Długo w umarłej krainie.

Szczególnie malej dziecinie,

Co się zbudzi i zobaczy

Cały las z ludzi czerwienią

Stojącą pod domu sienią,

Gdy jej dziadek wytłumaczy

I pod cieniem tych lip powie,

Że tak czynili ojcowie,

Którzy już dawno są w grobie,

To dziecko poczuje w sobie,

Przejęte smutkiem i strachem,
Patrząc w smętne oczy dziada,
Że i tym nawet zapachem
Ojczyzna do niego gada.

A może już gada do niego? Taki jest radosny, gdy go wynoszą do ogrodu. Widzi już drzewa, chwytą wszystko do ręki. Kiedyś chciał złapać słońce z kolderki. Może w tych liściach, w tem szumieniu słyszy głosy dawno przebrzmiałe.

„Czy słyszysz, jak ten las śpiewa?“

Taki cudny, z głębi duszy śmiech dziecka. Dźwięk jakiś, nie słowo jeszcze, a dla niej już więcej, niż słowo, odpowiedź, że słyszy.

„Błogosławione, wy drzewa,
Błogosławione, wy kwiatki“.

Nie chciała powiedzieć wiersza ostatniego o męczeństwie. Czula chęć nieprzepartą otworzyć teraz pamiętnik stryja — i czytać małemu. Tak, jakby mógł to zrozumieć. A przecież natura cała nie pyta, czy rozumie i mówi do niego. Taka wielka, głęboka mowa. Opowiada o tem, co było i musi być.

Wróciła do domu po pamiętnik.

Czytała najpierw cicho, a potem tak, by i Zośka słyszała. — Widzisz, to pisał stryj Ziuka. Ten, którego Moskale zabili. To pisał wtedy na wojnie:

„Gdy mnie rannego nieśli do najbliższego dworu, uderzył mnie pastuch ze wsi kamieniem. Przez zakrwawione oczy widziałem jeszcze pozdrowienie rodaka. To była zemsta za to, żeśmy tę wojnę wszczęli. Oni przecież nie mogli zrozumieć, dlaczego tak być musiało. Mój towarzysz nie przezwyciężył bólu i narzekał na mrzonki, gdy się od wywłaszczenia chłopów zaczęło.“

Przemówił do niego szlachcic starego typu, pewien swej wyższości rodowej, widzący to, co widzieli ojcowie. Wygodni byli ojcowie, chcieli siać bez uprawienia pola

i myśleli, że wzrośnie ziarno, nie chwast. Nie znali prawd przyrody. Ten kamień, który mi upadł na rękę, nie bolał, a uczył. Tylko, że dla mnie nauka daremna, bo zginąć muszę w tej nierównej walce. Nie ustąpię, więc zginę. Ty chłopie, rzucający kamień na pana, broniącego swego i twego honoru, mówisz tylko, prawdę, przyrodzoną prawdę, że nie dzieje się nic nagle u człowieka, wszystka jasność wewnętrzna musi się rodzić długo i trzeba na nią pracować.

Nie dawał ci nikt światełka, jednego nawet jego płomyka, a chce, aby ci oświecić nieświadomość.

Już wyleczyłem się z ran, więc idę na nowo.

Przecucie mówi, mi, że teraz zginę. A gdybym się sam wystawiał na kule dlatego, że mi nie jest zbyt dobrze na świecie, uważałbym to za podle tchórzostwo i marnowanie polskiej krwi.

Przerwała czytanie. Zośka nie rozumiała słów wszystkich, ale sens ujęła w swej duszy.

A gdyby to tak być miało, wielcy panowie, gdyby to tak być miało. No, no.

Tylko, że to widzicie pani, wcale się nie ma do tego i takich paniczów, jak on, to albo ubiją Moskale, albo swoi im dadzą radę.

Gdyby to tak wszyscy, jak p. dziedziczka chodzili do wsi i troszczyli się o biedotę. Niema u nas teraz biedy, odkąd pani nasza przyszła do Zułowa i pyta się o wszystko i wynajduje, gdzie najgorsza dola. Ale czy tak inni robią?

Widziałam ja świata dosyć, choć nie stara i wiem, co mówię. Inny to jeszcze biednemu wydrze, bo się bronić nie umie, inny to tak przejdzie, jakby koło kamienia, a do pasa się kłaniać każe, a robić, a robić.

Czytała dalej po cichu.

Nie wiem, czy znasz uczucie głodu. Takie, gdy już zabrakło jagód w lesie i korzonków i zeschłych liści? I gdy patrzy jeden na drugiego roziskrzonym wzrokiem i strasz-

nym pytaniem, jak długo! — Czasem przyniesie chłopak który chleba trochę i w jednej chwili rozdzielamy wszystko między siebie. Tylko ten chleb, przyniesiony ręką pocziwego chłopka, nie chlebem był, ale balsamem na rany. Był potwierdzeniem naszych młodzieńczych nadziei, które tak bardzo prędko rozwiało życie. — Opowiadałem wam niegdyś o naszych kołach, gdzie się mówiło o ludzie.

Rozbrzmiewaliśmy, jak i reszta świata zgodną wiarą w jutro.

Byle im dać wolność, wyzwolić.

Tak nam się łatwo zdawało.

Dziś, jako człowiek głodny, ubogi, ścigany za miłość wielkiej rzeczy, jak za zbrodnię, jestem bliżej człowieka biednego, niż ci, co czytają księgi i patrzą spokojnie. Oni tego nigdy nie pojmą, że między nami tylko przedział czasu, przedział czasu i nic więcej — może jeszcze bardzo długiego, ale to nie jest rzecz najważniejsza.

To nic, że nas wydali Moskałom, że nie poszli z nami, że przyjąć nie chcieli rannych do domów swoich. Ja teraz wiem, że to się jeszcze stać nie mogło. Teraz dopiero, gdy mi głód i bieda urąga, zrozumiałem niewiarę człowieka, uciskanego przez wieki. Jeślibym teraz nie powiedział takich dzieciennych słów, gdyby się nasze kółko zebrało, to bym jeszcze powiedział ich sens. Że wierzę w lepszy świat, że on się kiedyś stanie“.

Jakaż to różnica między walką o swoją sprawę, a cudzą.

Jest w człowieku, w głębi duszy coś szlachetnego, nawet w najgorszym żyje jakaś resztką człowieczeństwa, która budzi się w chwili strasznej. Oni strzelają do nas tak, jakby trafić nie chcieli, jakby cieszyli się, gdy im umknijemy. Wśród zostawionych przez uciekających karabinów, widziałem zagwożdżone. — Strzelali w stronę odwrotną. Czują coś, nie rozumieją, a czują, że my idziemy za sprawę słuszną. Dusza słowiańska wrażliwa odzywa się w nich, gdy patrzą na nasze lachmany.

To zrobił człowiek.

W wielkim tygodniu robiło się w całym domu przygotowania na święta. Obchodzono je tradycyjnie z wielką masą gości i obfitym święconem.

Przygotowania wszystkiego trwały już od wielkiego poniedziałku. Najwięcej pracy miała ciocia Stenia, gdyż ona dbała głównie o to, aby wszystko odbyło się wedle zwyczaju, aby baby odpowiednio wyrosły, mazurki były udane, mięso ułożone i przybrane zielenią. Ile to wymaga wprawy, wiedzy i trudu, pojmą tylko ci, a raczej te, które urządzają święcone staropolskie.

Pani Maria nie lubiła tych przygotowań, zostawiała je innym. Jej troską główną był wtedy świat religijny, rozmyślanie wielkotygodniowe. W domu jej rodzinnym najuroczyściej obchodzono wielki piątek. Pamięta, jak wtedy wszyscy suszyli, a dziadek zbierał ich na rozmyślania. Zasłaniano w ten dzień wszystkie lustra, zamykano jasne pokoje, dzieciom zabroniono bawić się i śmiać, cisza zaległa wszystko, nawet izby czeladzi. Dzień cały był zajęty pracą i modlitwą. Ten zwyczaj chciała wprowadzić także do swojego domu i dlatego troskę o przygotowanie święconego zostawiła innym.

W wielki czwartek zgromadziła po kolacji wszystkich domowników i służbę i czytała im o ostatniej wieczerzy. Dodawała swoje tłumaczenie o tem, jak Chrystus nogi umywał apostołom. Spojrzała po obecnych i powiedziała: Widzicie, dla nas to są wielcy ci dwunastu, których wybrał, dla nas to są święci i apostołowie, ale dla wszystkich, którzy wtedy żyli, byli to tylko ubodzy rybacy, a dla Niego, który był Bogiem, tylko ludzie śmiertelni, a przecież umywał im nogi. On Najwyższy. Pochylał się nad każdym z nich do ziemi, z której wszyscy powstał i w którą obrócał się kiedyś. Uśmiech miał taki pogodny, gdy się temu dziwili, bowiem pojmował nawskróś ich

dusze i dusze tych, co po nich przyjść mieli. I zrozumiał, że żaden z ludzi się tak nie pochyli, choć żaden do rzymka Jego obuwia nie dorośnie.

A przecież chciał, aby ten dzień zachowali w pamięci na wszystkie czasy.

Złożyła książeczkę i odeszła, poleciwszy im, by o tem myśleli.

A w wielki piątek, chociaż nie suszono, jak w jej domu, nie kazała nic gotować, tylko podano pieczone ziemniaki, solą posypane.

Znów ciocia Stenia piekła i gotowała święcone, a ona godziną popołudniową zebrała czeladkę. Ale nie czytała im sama, bo kiedy już wszyscy byli zebrani i uklękli do modlitwy, weszła do sali babunia i zaintonowała głośno gorzkie żale. Wrywała się w tej pieśni wspólna skarga wszystkich klęczących do Pana, że im jest ciężko i źle. Żalił się człowiek ubogi na wszystkie krzywdy od drugiego czleka zadane i że nie ma na nie rady. Był słaby, nie widział na zło sposobu, więc tylko skarżył się Bogu, który cierpiał kiedyś sam. Rozpamiętując Jego mękę o swojej myślał w duszy i dlatego na twarzach śpiewających malował się taki ból i dlatego były takie wyrazu pełne i prawdziwe.

A gdy prześpiewali, wstała p. Elżbieta z klęczek i przeczytała ustęp o męce Pańskiej. O tym, jak wisiał na krzyżu wśród łotrów dwóch — On Syn Boga żywego, Pana całego świata. A po przeczytaniu powiedziała głośno i dobitnie: To uczynił człowiek.

Człowiek uczynił temu, co był najsprawiedliwszy i najświętszy i chciał go podnieść ku swej wysokości. Ból niewypowiedziany przeciągnął jego twarz i głowę zwiesił. A nie mógł jej podnieść do końca. Przez tę sklonioną głowę płynęły krwawe łzy. Płynęły i żłobiły czerwone ślady. A potem spadały na piersi.

Kiedy oczy otworzył przez chwilę, zamknął je zaraz

w męce. Był w nich wyraz nieukojonego smutku. Dlaczego to czynicie wy właśnie, zdały się mówić te oczy, dla których przyszedłem na ziemię?

Dlatego ci, których ukochałem nieśmiertelną mocą?

Zadrgały boleśnie usta i wykrzywiły się chwilę, wtedy właśnie, kiedy mu uragać zaczęli.

Królu — zawołał któryś i z ust okropnych gorzką wyrzucił ślinę. A wtedy w tej twarzy bolesnej i sinej coś drgnęło straszliwie i objawiło się jednym jedynym błyskiem oczu, co będzie wiecznie trwałe.

Zobaczył właśnie w tej okropnej chwili całe szeregi.

Szeregi mrące za miłość, ginące za ukochanie człowieka, zabite przez tego człowieka.

Ale gdy krwawa łza spłynęła na same kolana, w oczach widać było cichość i niezmierną pogodę. Taką, co wszystko zrozumiała i zobaczyła daleki, daleki czas.

Wyrównał wszystko sprawiedliwie.

Chwila męki w wieczność upadła i w wieczności żyć będzie świata, choć była wobec niej, by mgnienie żreńnicy — a to, co z niej wyszło, nie miało mieć nigdy końca.

A wtedy z pogodnego nieba powstał huk przeraźliwy, jak przed światą końcem.

I drżeli ludzie w okropnym strachu bladzi. Bo się rozgniewał Pan, że świat podły przeszedł swoją miarę. A tak widzicie będzie zawsze, ile razy złość świata przekroczy ową miarę.

Cicho odeszła w czarnej, długiej sukni, z twarzą pełną niewypowiedzianej zadumy.

I już nie brała udziału w żadnych uroczystościach. Nie przyszła, gdy ksiądz święcił jedzenie, nie przyszła na święcone.

Poszły do pokoju na górze, do którego sięgały gałęzie białej brzozy. Była dzisiaj taka piękna w swej pierwszej zieloności. A dalej szło oko na klomby w parku. Jeszcze nie kwitły, ale zaczynały kielkować. Woń z lasu wpadała do tego pokoju.

Młodsza czytała dalej głośno.

A jednak musieliśmy opuścić Litwę. Należałem do tych, co szukają walki, a oddział nasz rozpuszczony. Jestem więc daleko teraz od Was. Walczymy mało, bo zima sroga tego roku, ale już nie musimy błąkać się po lasach. Przyjmują nas dwory, czasem i chłopskie chaty. Wbrew wszelkiej nadziei rośniemy. Rośniemy, świat się nami zajmuje, liczymy na pomoc Europy. Są tacy, co liczą — ja do nich nie należę. Nie widzę w naszej sprawie dziś interesu niczyjego, takiego interesu, który by chciał ryzykować tak wiele. Nie poznałabyś dziś mojej trzeźwości w patrzeniu na sprawy. Na zimno obliczam wszystko, jaki interes może mieć człowiek robiący coś dobrego i nie wzruszają mnie już żadne słowa.

A jednak nigdy tak silnie jak dziś nie wierzyłem w zwycięstwo Ormuzda.

23 luty. Wczoraj był ostatni dzień karnawału.

Byliśmy w starym modrzewiowym dworze, jakich wiele na Litwie, jak ten najdroższy mi dom. Jest tam i zegar, bijący kuranty i stare, granatowe meble, obłożone orzechem i z prostych desek, woskiem pociągnięta podłoga i szable na ścianach i portrety przodków i w sieni zdobywcze z polowania. W dworku piękne panienki, marzące o powstańcach i młodzi, którzy jeszcze nie poszli.

A gdyśmy tam przyszli, poszli z nami wszyscy i rodzicom nic nie zostało. Ale, nim poszli, była jeszcze ostatnia noc. Nie pamiętam takiej w życiu. Tańczyliśmy do rana. Cały, cały dwór.

I rodzice i dzieci i wnuki i gospodarze i służba. Kto tylko żyw, tańczył owego szalonego mazura.

Odbijaliśmy sto razy złotowłosą Zosię i poważną o powłóczyстым spojrzeniu Haneczkę.

Jakaś szalona ochota weszła nam wszystkim w żyły, żeśmy chcieli zapomnieć raz jeden jedyny wszystkiego i szaleć. Bodaj jedną noc — bodaj tę złudną chwilę. Polak

tak często za jedną chwilę piękną gotów zaryzykować wszystko. To nasza cudowna dziecięcość. Przecież wiedzieliśmy wszyscy, że kula jutro może sprzątnąć każdego z nas, a tańczyliśmy jakby to były złote, jagiellońskie czasy. W skarbie pieniądź brzęczy, pokój miły w kraju. Było w tym tyle szczerości i prawdy, że mnie porwało. Tańczyłem z nimi. Odbijałem Zosię i Haneczkę. Wkładaliśmy w ten taniec tyle zapалу, jakby to było coś równie ważnego, jak wyprawa, bitwa. Jest w nas bowiem Polakach jakiś nieprzebrany zasób energii. Gdybyśmy umieli go obrócić w najlepszym kierunku, stworzyłby siłę niezmąconą. Ale...

To ale skarży się i płacze i wykrzywia usta piolunem i szydzi. Urąga i klnie, a na koniec strasznie, spazmatycznie się śmieje.

Od takiego śmiechu może nawet skończyć serce. Wiem, że Ci nawet na chwilę nie przejdzie myśl, bym żałował tej zapamiętałej radości, przez którą wypowiadała się siła naszego temperamentu.

Cudne to bowiem i jasne było oszołomienie.

Ty wiesz, ty wiesz, o co oskarżałem zawsze przeszłość i oskarżam teraźniejszość. O walkę z aniołem w człowieku. O walkę z wielkością człowieka. Kiedy zobaczyła coś, czego pojąć nie może — to wtedy wszyscy ławą. Zawsze niezgodni i walczący, stawali się wtedy jak jeden wiew huraganowy, uderzający w Anioła Polski.

Miałem ci mówić o balu, a zaszłem na takie dziwne sprawy“.

Widzisz, jak on to umiał powiedzieć.

Gdyby kto najmądrzejszemu człowiekowi kazał ująć istotę naszych dziejów, nie mógłby wyrazić tego lepiej, jak walka z aniołem Polski. Ona nie wszędzie jest brutalna i brzydka, czasem przybiera urok piękna.

Polska wesola i Polska smutna. Polska używająca i cierpiąca. Ach jakże śmieszną jest dla nich ta Polska,

co się trzodzi. Widzisz, ja należałam do obu, ja je znam obie do gruntu. Jedną Polskę, która się bawi dla ojczyzny i drugą, co dla ojczyzny ginie.

Jakże cudny, jakże bogom podobny jest ten bal przed bitwą śmiertelną wobec tych, w których brałam udział sama. Tańczyliśmy na patriotów. Widzisz nawet i ja. To było w 32 roku. Byłam jeszcze dość młoda i mówili, że piękna.

Wysłuchaj tego na moją pokutę, abyś widziała, jak aniołowi kłamali. Kłamali aniołowi Polski, a ja z nimi.

Byłam wtedy w hotelu Lambert na balu. Tańczyliśmy na emigrantów. Aby zmniejszyć ich niedolę. Zdaje mi się, że cały czar świata spłynął wtedy na świetne salony, aby olśnić cudzoziemców. Aby im pokazać, co może Polska.

Polska tańcząca na emigrantów.

Ubrałam się w strój indyjski, przestudiowałam przedtem wszystkie szczegóły w muzeach.

Ach za to, ile te stroje kosztowały, można by na pewno utrzymać przez rok paru emigrantów. A to była jedna z najskromniejszych toalet. Były tam przecież kobiety, które krociowe fortuny nosiły w klejnotach, koronkach i tkaninach. Widzisz, żadna nie pomyślała, że z jednej części tego można całą emigrację poratować — może dużo, dużo więcej. Ile tam było egzotycznych kwiatów, które do rana zwiędnąć miały — ile lamp na jedną noc powołanych do życia, kolorowych, tworzących girlandy i bukiety cudownie szarmonizowanych światel. Drogo-cenne lustra i kryształły odbijają tę noc blasku. Odbija się w brylantach, zdobiących włosy, szyje, suknie, pantofelki nawet. Pada światło na martwe perły i daje im różnorodne odcienie, zmienia barwę cennych kolorowych kamieni, że w każdej inaczej się mienia. Tryskają fontanny zmieszane z zapachem woni ziół dalekich, wlanych obficie do wody, by odurzały wschodnią wonią. Dokoła jednej

fontanny położono usypiające tuberozy, przy innej kształtne irysy i ciemnożółte róże. Muzyka różnorodna gra — nie brak w niej i dzikich murzynów.

Obmyślane wszystko z wdziękiem i znanstwem.

Tylko, gdyby to obrócić w inną stronę, nie prosilibyśmy z pewnością o pomoc dla emigrantów.

Musi być piękno i radość życia.

Tylko, że mnie wtedy zaczęło boleć pierwszy raz, gdy zobaczyła tyle piękna i radości razem, gdy zobaczyła właśnie wtedy, kiedy druga Polska miała tyle cierpień. Bo gdyby to było kiedyindziej — w jakimś cudownym wieku złotym, gdyśmy się w beztróscie cieszyli, że Polska bogata od morza do morza i że ją szanują sąsiedzi — ale wtedy — właśnie wtedy, gdyśmy przegrali wszystko.

Pomyśl sobie, ile domów jeszcze płakało za poległych — ilu nie mogło powrócić i to, żeśmy byli proszący. Przychodziło wielu z arystokracji obcej na te bale i patrzyli, kupowali kwiaty i fanty drogie na emigrantów. Uśmiechały się do nich piękne panie polskie i kwestowały. Starały się być urocze, by więcej zebrać dla rodaków. Nie mogłam się wtedy bawić i wyjechałam wcześniej z balu. Ale jeszcze nie wiedziałam dobrze dlaczego to czynię. Wyrzutów sumienia mieć nie mogłam, gdyż wtedy już należeliśmy raczej do Polski cierpiącej. W powstaniu był mój mąż, ja byłam skompromitowana pracą w organizacji. A tam była Polska, która się tylko bawiła. Ale nie czułam jeszcze tego tak, jak wtedy, gdy poznałam prawdę.

Długo jeszcze potem, gdy z daleka przypatrywałam się twarzom tanecznym, stawał mi w myślach ów bal egzotyczny, złożone sale, lśniące posadzki, lustra i kryształły oświecone lampami i wśród nich świat roztańczony, taki pusty, taki niewidzący, żyjący uśmiechem chwili, jakby po tej nocy cudownej nie miało przyjść nigdy rano

i oświecić wszystkiego, co było złudą ciemną, oświeconą sztucznymi ogniami.

Prawda, że nie oni, nie oni najwięcej walczyli z Aniołem Polski.

Oni tylko Aniołowi kłamali.

Walczyli ci, co im urągali, że poszli.

Ach gdyby oni mogli kiedykolwiek zrozumieć wielkość, zobaczywszy ją oczyma — toby świat cały nie musiał iść tak długą, daleką drogą na każdy szczybel w górę i nie musiałyby tak cierpieć wielkie, niezliczone masy, które oni ciągną za sobą w dół.

Zostań tu jeszcze, dokończymy czytania.

Odchodzę.

Było jeszcze bardzo rano i szaro, gdy ścichły ostatnie tony mazura. Wychodziliśmy spiesźnie, bo dano nam znać, że Moskale już niedaleko. Poszli młodzi synowie. Rodzice chcieli tylko ocalić jednego — że był jeszcze maleńki i rokował wielkie nadzieje. Za granicę go wysła, by się wślawił kiedyś wiedzą. Lat miał dopiero 16. Poszedł z nami cichaczem. Poszedł, choć matka przed nim ukłękła i płakała. Klęczała jak przed świętym, aby choć jeden pozostał. Bo przecież tamci muszą zginąć.

Może dlatego, że nie słuchał klęczącej matki, stało się to, co się stało. Może właśnie dlatego. Bo to przecież było tak niedaleko domu — za lasem, za który schowaliśmy się przed Moskalami. Padło nas tam więcej, niż w innych bitwach. Może złośliwiej strzelali. A może myśmy się gorzej bronili, wyrwani tak nagle ze dworu. On był najpierwszy z nich. Kula trafiła go w samo serce. Jego, co tak ochotnie szedł mimo matczynego wołania.

Czyżby Pan chciał pokazać swój gniew na niego za matkę?

A może, że go oddać nie chciała?

Nie mieliśmy czasu pogrzebać.

Leżał pod lasem, tam, gdzie często chodzili na spacer, gdzie zbierali jagody i kwiaty. Tam samotny leżał pod lasem, a myśmy go odbiec musieli, gnani bezlitośnie przez Moskali. Więc kiedy ojciec i matka wyjdą przed las, to się muszą spojrzeć na niego.

Jakież to będzie straszne spojrzenie.

A może Hania i Zosia pierwsze zobaczą i przyniosą do domu okropną wieść.

A ojczyźnie mojej na co ten ból potrzebny?

— Widzisz — postawił pytanie dziecka, które zapłakało, że go coś bardzo boli.

Z tego miejsca nie można odpowiedzieć, ani wtedy, gdy dokucza bardzo cierpienie.

Trzeba odejść dalej, dużo dalej i zamyśleć się nad tym, co było.

Marzec.

Znów piszę do Ciebie. (To jeszcze romantyczne marzenia).

Zakończyłem pisanie moje takim okropnym pytaniem, na które wiem, że tybyś umiała odpowiedzieć. A ja jeszcze nie umiem i bardzo cierpię dlatego“.

(Myśli. Nie umiem i ja, bo się zawsze buntuję na to, że cierpią niewinni za winnych).

„Siedzimy teraz w pustej chacie, a mój towarzysz opowiada o swoim niedawnym więzieniu. Upomina mię, abym się nie dał wziąć żywcem, bo więzienie gorsze jest, niż śmierć.

To przecież jasne, że ja żywy nie wyjdę z tej wojny. Chybaby się ziemia cała przemieniła i już przyszedł dzień wybawienia.

On był w X pawilonie za przygotowania do ruchu.

Najgorsza była ta straszna trwoga, by nie wypowiedzieć czego. Gdy przyjdą podstępnie i zaczną pytać o obojętne sprawy. Wtedy, właśnie wtedy może coś powiedzieć. Albo, gdy go zbudzą nocą, a on nie rozróżni jeszcze zjawy od snu. Może właśnie wtedy coś wypowie.

Albo, gdy będzie bardzo głodny. Wszak jest granica ludzkich sił.

Poprzednik jego wylał na siebie lampę i spłonął. Wołał to, niż tę ustawiczną mękę. Widział na ścianie wyryte jego litery. Lewita. Każde wołało do niego. Spal się, jak ja. Inaczej wydasz towarzyszy. Spal się — spal się.

To wiem, że się tam nie dostanę żywy.

I jeszcze jedno muszę wypowiedzieć, co mię tak bardzo boli, czego zapomnieć nie będę mógł do końca żywota, a nawet chyba i na tamtym świecie. Kazano mi po bitwie uprzątnąć pole. Wypadł na mnie ten los okropny grzebania umarłych. Wszystko, wszystko raczej, tylko nie to. Wykopać miałem grób wielki i wrzucić do niego drogich towarzyszy, wczoraj, dziś jeszcze nawet mówiących do mnie — śmiejących się życiem.

Nie wiedziałem, że to więcej, niż może znieść człowiek, to zwykłe na wojnie grzebanie umarłych. Jeden z nich żył jeszcze i wołał:

— Dobij!

Przeszyła mu kula wnętrzności. Jeszcze raz jęknął przed zgonem. Był w tym wyrzut, że nie pomogłem jego męce, że nie dobiłem przyjazną ręką druha.

A potem oczy mu wyszły z orbit i patrzyły na mnie. Patrzyły jeszcze po śmierci.

A inni poddawali się moim rękom, gdym ich do grobu kładł.

Nie mogłem rzucać ciał, a kładłem jedno przy drugim jakby na sen, po którym wstaną na sąd.

Tak płytko kopałem grób. Nie mam żołnierskiej duszy, gdy znieść nie mogę tej rzeczy. Przecież to strawa po-

wszednia, spotykamy się co dzień z nią, a mnie krew w żyłach ścina.

Pragnę śmierci. — Dlatego, co widziałem teraz, pragnę śmierci.

Gdybym po tym wszystkim do życia wrócił zwyczajnego, nie mógłbym już patrzeć na świat, widziałbym w każdym człowieku takiego trupa, jak ci, których kładłem do wiecznego snu.

Że ciało nasze jest tylko szatą, zrozumiałem to dziś dopiero do głębi. I że straszne jest odłączenie ducha od tej widomej zjawy, to także dopiero dziś widzę.

Pragnę dla siebie tej chwili jako jedyne szczęścia, które mnie tu spotkać może.

Dzwonią wieczorem w wiejskim cichym kościółku, a ja się modłę całą duszą.

Tak jak wtedy, gdy byłem małym dzieckiem i prowadziła mnie matka ukochana do pierwszej świętej Komunii. Świecę włożyła do ręki i przewiązała ją białą wstążeczką. Mówiła mi tak ślicznie o aniołkach i o tym, że mam jeszcze czystą duszę, że mi jej splamić nie wolno.

Biją tak dzwony wiejskiego kościółka, jak wtedy wieczorem. Mówiła mi, że na drugi dzień przyjmę samego Boga do duszy.

Nie wiedziałem, jak się to stanie, tylko mi było bardzo dobrze, gdy to mówiła i gdy te dzwony biły. Nie może być nikt więcej szczęśliwy, jak ten, co wierzyć potrafi, jak dziecko.

Teraz mi się zdaje, że stałem się dziecieniem, które zaczyna na nowo.

Tylko, że to na nowo, to będzie po tamtej stronie. I wierzę, wierzę w rzecz jedną niezłomnie, że czego nie mogłem zobaczyć, zobaczy kiedyś on.

On, który przyjdzie po mnie i zwycięży.

Na polu się kończył cudny wiosenny dzień.

Przed słońca zachodem pachniała ziemia wszystkimi

kwiatami i liśćmi, a tam się goście w najlepsze bawili. Pani Maria poszła zobaczyć, co robi Ziuk. Dziecko spało przy Zośce. Więc ją posłała na zabawę, a one zostały z nim. Czytały cicho, myślały, aby nawet dźwięk słowa głośnego nie przerywał obcowania z drogim duchem i aby to obcowanie łączyło z nim dziecię śpiące.

„Niech się stanie, co miznaczono. Przeczucie mnie woła, że koniec, że padnę w pierwszej bitwie, którą stoczemy. Więc teraz żegnam się z Tobą. Głowę odwracam na północ, na Litwę do cudownego dworu i staję pod lipą w ogrodzie.

Takie urodziwe lato, taki jasny, błękitny dzień. Poranek dnia żniwa.

Widzisz, jestem tym kłosem, który mają ścinać za chwilę.

W obliczu wieczności i Boga, czy człowiek jest więcej, niż kłos?

Więc, kiedy pójdziesz na pole i zobaczysz, że ścinają zboże, to pomyśl, że to my, którzyśmy szli użyźnić ziemię, aby dzieci nasze miały już lepsze żniwa. A jeden kłosek to ja...

Może był pełny, może był Bogu miły.

Spójrz na niego choć teraz przy skonaniu łaskawie.

Staję przed Tobą, bez dawnego spuszczenia oczu, możesz teraz wiedzieć całą prawdę, bo idę.

Kochałem Twoją pogodę i Twoje rozśpiewane serce, które umiało kochać cały świat i wszystko stworzenie przez Polskę. Twoje oczy głębokie, duszę odkrywające, zapatrzone w obraz ojczyzny.

Wierzę, że dzieci Twoje zobaczą inne dni.

Ile w tym będzie Twego, sama Ty wiesz.

Gdy sobie teraz Twój obraz przed oczy stawiam, kiedym Cię widział ostatni raz na ganku stojącą, któraś znak krzyża czyniła nade mną skrycie, to mi się wydaje, że koło Ciebie stoją anioły Boże i zlewają słodycz do duszy.

Wszystko mi teraz mówić wolno, bo już idę. A nie wrócę nigdy, aż tam, gdzie się spotykają duchy bez ciał. Jeszcze rano — jeszcze nie wstało słońce.

Przed dworkiem staję modrzewiowym i patrzę w okna wasze.

Może śpią dzieci, których nie znałem. Sen mają jasny, pogodny. Błogosławię Wasze żywoty, aby nie były jak mój. Błogosławię każdy wasz krok ku przyszłości i każdy czyn ręki i głowy.

Nie żal mi niczego — niczego.

Śpijcie, odejdę cicho. Nie przerywajcie snu.

Przez ogród przejdę pachnący, potem przez łąkę kwiecistą, jeszcze przez szumiący las i wodę. Niebieską, grającą, głęboką.

Zanurzy się w niej dusza i nie wyjdzie więcej na ziemię“.

W kołysce zakwiliło dziecko.

Słyszysz maleńki stryj Jan czuwał nad tobą. Stryj Jan cię błogosławił.

Błogosławił twoją rączkę i głowę i każdy twój krok i każde pomyślenie.

I modlił się, modlił przed śmiercią — abyś nie siedł daremnie jak on.

To była jego ostatnia modlitwa.

Gdy człowiek przed śmiercią prosi o jedną rzecz, to ją Bóg wysłuchać musi.

A matka powtarzała sobie w myśli ostatnie słowa syna, do niej tylko samej pisane.

„Ostatnie moje pomyślenie Tobie Matko. Zdaje mi się, że się z Tobą rozłączyć nie można. Gdziekolwiek będę — a w istnienie to wierzę — będziemy z sobą obcowali“.

Potem obcą ręką dopisane, że na drugi dzień w bitwie zginął.

Grób jego leży samotny w polu. Szukać go nie pró-

bowala, bo wie, że tam jeno proch i popiół, a on prawdziwy żyje.

Siedziały obie cicho i myślały o jednym. O człowieku, który ich kochał duszą.

Ta miłość łączyła je jakimś nierozzerwalnym węzłem i dawała zrozumienie.

Zrozumienie najtrudniejszego pytania o tym, co tam.

Czuły, że tam jest wyrównanie wszystkiego. Czuły, że tam jest jakaś wielka, nie ludzka już sprawiedliwość, która się patrzy z uśmiechem na człowieczą pychę i niewiedzę.

Do duszy ich spływała pewnośc tego wyższego bytowania. W jednej chwili spojrzwały obie na dziecko i obie razem powiedziały jedno słowo — Mściciel.

Nie było w nim nienawiści, a jeno pewnośc namacalna, przeżyta, konieczna.

Bajki.

Pływały w Zułowie dni za dniami podobne do siebie, pogodne. Wprawdzie w domu panowała wciąż jeszcze jak wszędzie żałoba po powstaniu i nigdzie nie bawiono się hucznie, ale życie codzienne szło zwykłym trybem i uwagę wszystkich pochłaniały zdarzenia dnia. Najważniejszymi zdarzeniami dnia były w Zułowie dzieci. Z dniem każdym zmieniały się, z dniem każdym niemal trzeba się było stosować do tych zmian. One też były głównym tematem rozmów we dworze. Najwięcej miała zawsze do opowiadania Zośka o Ziuku. Chwaliła się, jakby to była jej zasługa, że prędzej, niż inne dzieci stawał, że mówił już różne słowa, gdy się innym jeszcze w tym czasie nawet nie śniło, że teraz rok dopiero kończy, a już dobrze chodzi, nawet nie chce, by mu rękę podawała, ani się nie czepia wszystkich stołków i sprzętów. A teraz, to już nie mówi żadnych słów dziecinnych, tylko woła na mnie jak dorosły: daj. Pierw-

szy raz, gdy zaczął sam chodzić, zaprowadziła go matka do babuni.

Puk, puk... Babciu to ja, Ziuk.

Babcia krzyknęła z podziwienia, a potem się rozplakała głośno, bo tak samo chodził kiedyś jej Jaś i przez chwilę jej się zdawało, że to on.

A potem babcia zachorowała i już nie przyszła do stołu na wigilię. Leżała w swoim pokoju i mówiła, że już z tej choroby nie wstanie.

Długa, długa to była choroba. Doktora nie wzywała, bo mówiła, że na to nie ma ratunku — tylko, że jeszcze chorować musi, by swoje odcierpieć na ziemi. Widocznie znalazła łaskę u Boga, że jej tu pokutować pozwala za wszystkie grzechy. Leżała więc teraz cierpliwie i choć musiała męczyć się bardzo, nikt skargi z ust jej nie słyszał. Wychudła tylko, pożółkła i skóra się na niej zmarszczyła. Podobna była do zwłoków raczej, niż do człowieka żywego. Żywiła się tylko owocami, które jej pani Maria sama przynosiła. Przychodziła do niej często. Z nią jedną rozmawiała staruszka, zresztą nie słyszał nikt od niej ni słowa. Musiała jej mówić jakieś ważne rzeczy, bo pani wychodziła prawie zawsze z jej pokoju zamyślona. Ale nigdy nie była smutna. Oswoiły się obie z tą myślą, że się pożegnać trzeba.

Zośka mówiła, że starsza pani uczy młodszą, jak ma chować małego, bo ona jest bardzo mądra i chce, aby kiedyś wiedział, co ona. A Ziuk co dnia więcej mówił. Każdego dnia powtarzała Zośka nowe słowa, których się już nauczył. Mówił jak dorośli, a nie przekrecał po dziecinemu. Pytał się i odpowiadał na pytania. Ledwie dwa lata skończył, już umiał powtórzyć bajkę. Ale pani starsza nie pozwalała, aby mu Zośka opowiadała bajki — samej tylko pani młodszej wolno. Zwolywała więc wszystkie dzieci i opowiadała wszystkim razem. A on najwięcej się pytał i pytał. A pocieszenie było słuchać, jak wciąż prze-

rywał. Bo przerywały i tamte, ale zupełnie inaczej. A poco, a jak, a dlaczego — a on to zaraz trafił w sam sens. Musiał wiedzieć wszystko, jakby to nie była bajka zmyślona, tylko prawda. Gdy się wobec dziedziczki dziwiła, to pani powiedziała jej, że nie bajki opowiada, tylko prawdę, że wszystko tak było, jak powiadała. Zośka słuchała także, a to było takie prześliczne — takie zupełnie inne bajki.

Była zima. Już ciemno, choć dopiero popołudniowa godzina. Babunia drzemie w swoim pokoju. Drzemie, a może bardzo cierpi.

W zielonym pokoju, w tym, w którym były najstarsze portrety, usiadła matka do bajek. Siedziała w dużym fotelu, a dzieci na kanapie. Hela, Zula, Broniś. A Ziuk na małym stołeczku u jej stóp.

Co chwila podnosił głowę, oparty o jej kolana i patrzył w oczy matki ciekawie.

Mówiła im o ks. Józefie, o tym, którego portret wisiał w zielonym pokoju.

Książę Józef jechał sam przez pole, takie samo pole, jak w Zułowie i był bardzo zamyślony. Koń pod nim cudny, kasztanowy, tak wysoko podnosi głowę. A on mu cugle ściąga, aby szedł wolno i patrzy na pole.

Matka mówiła tak:

Niedaleko, niedaleko stąd jechał na koniu ks. Józef.

Może pod tym lasem.

Może pod lasem, co szumi i śpiewa i kołysze się. Liście szumią, kołyszą się kwiaty.

Takie same, jak teraz mamó?

Takie same niebieskie, koralowe i polne róże. I stokrótki. On jechał, a kwiaty mu się kłaniały, a łąki mu się kłaniały, a zboże się ugięło aż do ziemi.

To wiedziały, że książę jedzie?

Wiedziały, że jedzie on, więcej, niż książę, niż król-rycerz.

A czy miał takie skrzydła z piór?

Nie miał skrzydeł jak dawni rycerze, ani pancerza, ani tarczy. Ani on ani jego koń nie miał żadnej zbroi.

Jechał przez pola zielone, przez pola szumiące, żeby się pożegnać ze swoją ziemią.

Bo już jej nigdy, nigdy nie zobaczy.

Patrzył na niebo, patrzył na wodę, patrzył na liście drzew. O jakże ty niebo jesteś cudowne, myślał, jak patrzysz radośnie na moją ziemię.

I woda się stała mieniąca, śpiewa piosenkę pożegnania.

Dobrze mi tu, jestem szczęśliwy, piękna jest ziemia.

A gdy tak myślał i jechał przez pola, wyszło z pobliskiego dworku dwoje ślicznie ubranych dzieci: Ona miała sukienkę różową i złote, kręcone włosy i oczy niebieskie, jak polne kwiaty, a chłopczyk był ubrany białą, całą białą i niósł śliczne, pąsowe róże zerwane przed chwilą w ogrodzie. Ona niosła polne dzwoneczki białe.

Zobaczyli księcia i poznali.

Jak go poznali mamó?

Bo on był sławny na całą, całą Polskę i dzieci nawet o nim wiedziały. I kochały go wszystkie dzieci za to, że walczył o Polskę. Chciały mu powiedzieć, jak bardzo go kochają i jaki to dzień dla nich szczęśliwy, że zobaczyły tego, którego obraz wisi u nich we dworze — ale nie umiały powiedzieć nic — tak im były serduszka. Więc tylko położyły kwiaty na ziemię, tam, gdzie stąpał jego koń i złożyły ukłon głęboki.

Dziewczynka dygnęła nóżką, a chłopczyk przyłożył rękę do skroni i trzymał ją cały czas.

A książę Józef zsiadł z konia, podniósł dziewczynkę z ziemi i pocałował, a chłopcy rękę uściskał, jak swemu druhowi. I zapłakał.

Ten, co nigdy, przenigdy nie płakał, rycerz sławny, miał w oczach łzy.

A to były łyzy radości i dumy.

Oddały mu dzieci za wszystko, co zniósł dla Polski.
Oddały mu dzieci za całą Polskę.

Chciała mówić więcej, ale nie znalazła już słów na wypowiedzenie tego, co było głęboko w jej duszy. A gdy tych słów szukała, on nie dał jej trwać w milczeniu.

Mamo, a co potem zrobił ks. Józef?

Pojechał prędko, tak prędko jak nigdy, na to pole smutne nad wodą. Konia bódł ostrogami, by jechał prędzej, prędzej.

Dlaczego tak prędko uciekał?

Uciekał, by go nie zatrzymało szczęście domowe, bo wiedział, że musi zginąć. Bał się, żeby go ojczyzna nie zatrzymała zbyt długo, bo trzeba było oddać życie.

Za Polskę?

Jeszcze nie za Polskę — widzicie dlatego był tak bardzo smutny, że jeszcze nie za Polskę, tylko za dotrzymanie słowa.

Komu musiał dotrzymać słowa?

Cesarzowi Francuzów. Szedł z nim, gdy był wielki, gdy zwyciężał, gdy bił Niemców i świat, a teraz, gdy tamtego świat pokonał, on go nie chciał opuścić.

A czy tamten dotrzymał słowa?

Zdumiała się pytaniem dziecka i chwilę wahała się, jakaby dać odpowiedzieć.

Nie mógł już tamten dotrzymać — a choćby i jego była w tym wina, to książę dotrzymać musiał. Bo widzisz on był Polakiem i mówił wtedy za Polskę. Mówił wtedy, gdy koń pod nim padał, a on ranny borykał się z falami wody i tonął — że ratuje honor Polaków. Nie mieliśmy wtedy już nic, tylko honor, a honor był w jego ręku. Więc go wolał ratować, niż siebie, bo był Polakiem. Widzicie był prawdziwym Polakiem.

On książę Józef Poniatowski.

Bała się, że ją pytać będą o honor. Ale dzieci były

zamyślane, chciały słuchać jeszcze o księciu Józefie i prosiły, by o nim mówiła jeszcze.

Już więcej nic się stać nie mogło, bo już nie żył, a ja wam opowiadam takie bajki, co są prawdą.

Broniś wtrącił uwagę. Nazywał się jak nasz tatuś i jak Ziuk. Może Ziuk będzie księciem Józefem?

Ziuku, będziesz księciem Józefem!

Jabym cię wtedy tak bardzo, bardzo kochała — mówiła Helenka. — Dałabym ci najpiękniejsze kwiaty.

A jabym ci dała cały ogród kwiatów — przerwała Zula. — Zbierałabym cały dzień i noc i dzień i dałabym ci wszystkie wtedy.

A on na to wszystko przekrzywił śmiechem dziecinne usteczka i powiedział:

Ja nie chcę.

Nie chcesz być księciem Józefem?

Mamo on nie chce być księciem Józefem.

Bo on wie, że to żarty.

A gdyby to była prawda? Ziuku gdyby to była prawda nie bajka?

Czekali wszyscy na odpowiedź, a on wstał ze swego małego stołeczka, przewrócił go i powiedział ku zdumieniu wszystkich.

Bo ja chcę wygrać — i odszedł do zabawy z Zośką.

Gdy matka opowiadała wszystko babuni, wyraziła wątpliwości, czy nie za wcześniej im to mówi — szczególnie najmłodszemu.

A ona powiedziała jej tak.

Nie szukaj wszystkiego w rozumie. Jest wejście do duszy stokroć pewniejsze, niż tędy. Słów pojąć jeszcze nie może, ale to, co ważniejsze, niż słowo, zostanie głęboko. Kiedyś, gdy sobie to przypomni, odnajdzie sens utajony. A potem się radowała tym, co im powiedział. To już nad zwykłe dziecka powiedzenie. To już coś, co przechodzi moją o świecie wiedzę. Widzisz ujął samo jądro rzeczy. Widzisz, on najmłodszy ujął tak krótko jądro rzeczy...

Potem były inne cudne bajki.

O rycerzu i o husarzach i królach i sławnych mężach. Tych, co się wstawili męstwem i tych, co czymś jeszcze więcej.

Było już pogodne lato i siedzieli przy oknach otwartych wieczorem, gdy im mówiła o Zawiszy Czarnym.

Że jechał na białym koniu, a zbroję miał całą ze stali. Taką ciężką, czarną zbroję.

Co chwila któreś z dzieci zadawało pytania.

A czemu jechał na białym koniu?

Żeby go mógł każdy zobaczyć, żeby wiedzieli wszyscy, że się nie kryje. Nie bał się bowiem pan Zawisza nikogo.

Nikogo się nie bał pan Zawisza?

Nikogo, bo nie robił nic złego w życiu i spokój miał wielki w duszy, a z ludzi nikt nie był mocniejszy od niego. Zresztą nie wiedział, co to trwoga.

Ile razy stąpnie koń jego biały, ile razy zadrży na polu, tyle serc trzęsie się z trwogi przed panem Zawiszą. A na kogo rękę podniesie, ten już się żegna z żywotem, a na kogo szablą świeźnie, ten duszę poleca Bogu. Taką miał sławę Pan Zawisza Czarny, że gdy usłyszano jego imię, nikt nie śmiał stanąć w szranki. Odkąd zabił rycerza nad rycerzami na dalekich polach pod Perpignano.

Mamo, a dlaczego nosił czarną zbroję?

Dlatego, że bardzo był smutny.

Był bardzo smutny przez kogo?

A nim odpowiedziała, wtrąciła Zula.

Pewnie dlatego, że zabił tylu ludzi.

Nie był smutny pan Zawisza przez krew wylaną, bo jej nie wylewał daremnie. Zawsze walczył za wiarę i o krzywdę ludzką. Bronił małych i biednych przeciw bogatym i możnym.

A dlaczego zabił tego rycerza sławnego?

Bo się przed nim chępił i wynosił i chciał mu odebrać sławę. Sławę, którą sobie zdobył siłą i czymś o wiele większym, niż siłą.

Mamo, a co jest o wiele większe, niż siła?

To, że mówił zawsze prawdę i nigdy nie złamał słowa. Jeżeli co przyrzekł, to musiał dotrzymać, choćby go to miało kosztować życie. I dlatego rosła mu sława jeszcze większa.

A dlaczego to jest więcej, niż siła?

Kto ma siłę, robi, co chce i rządzi drugimi, a ten, co tylko mówi prawdę, może być bardzo ubogi i mały. Pan Zawisza był ubogi, a rosła mu sława na wieki.

Pan Zawisza był ubogi, choć taki mocny i sławny?

Tak był nad wyraz ubogi, że nie miał nic, prócz miecza i zbroi.

Na twardym sypiał łożu, chleb tylko jadał czarny, a po sobie nic nie zostawił — ani jednego pieniążka małego.

Ani małego, miedzianego pieniążka?

Biedny, biedny pan Zawisza nie miał ani jednego pieniążka.

Gdybym spotkał takiego rycerza, jak on, tobym mu oddał całą swoją puszkę — wtrącił Broniś.

A jabym mu dała lalkę różową.

A onby nie wziął niczego, bo niczego nie chciał rycerz Zawisza.

Gdyby był walczył o złoto, byłby go zdobył więcej, niż cesarze i króle.

Gdyby był walczył o skarby, byłby ich miał więcej, niż smok wawelski.

Gdyby był walczył o pałace bogate, byłby ich miał tysiące.

Może całe koralowe.

Może z pereł i diamentów.

Ale on chciał tylko tego, co jest więcej, niż złoto i więcej, niż skarby i więcej niż siła.

A więcej jest dlatego, że wszystkie skarby może zabrać złodziej i ogień i człowiek zły, a siłę zabierze choroba i śmierć — a tego mu nawet śmierć nie zabrała. I sławny

jest dziś pan Zawisza, jak był wtedy, choć już tyle lat przeszło, jak go nie ma, i przejdzie jeszcze więcej, a on będzie zawsze sławny dlatego, że nie złamał słowa honoru.

Nie powiedziałaś, dlaczego był smutny?

Nie powiedziałam, boście zaczęły pytać o co innego. I spojrzala na książeczkę, którą nosiła zawsze na te bajki. Wiedziała, że jej sensu głębokiego nie rozumieją dzieci, ale lubiła czytać i bawić je dźwiękiem słowa.

Może tam napisane, dlaczego był smutny Pan Zawisza?

Tam jest wszystko. Tam, w tej książeczce jest wszystko, co ważne i trudne do pojęcia — to wam przeczytam.

Myślisz, że kiedy losy Polskę z niego osierocą.

To prędko takie jak on duchy przyjdą?

A dzieci słuchały, słuchały, jak gdyby mogły zrozumieć — porwane nieuchwytnym pięknem.

„Gdy po nim nic nie zostanie prócz przysłowia.

Polegaj jak na Zawiszy.

Myślisz, że gniew Boży nie wstanie

I tej Polsce nie pogrozi,

Co nędzą anioły mrozi,

A od złota ich mniej waży —

A kiedy z nich krew wypila

To Panu Bogu odsyła.

Jako w łachmanach nędzarzy,

Mieczami wrogów podartych...”

Mamo, to on był smutny przez swoich, nie przez wrogów?

Słyszysz głos tego, co zawsze chwytal sens rzeczy.

Przez swoich widzisz był smutny, bo tylko to złe boli, co idzie od kochanych osób. On ich kochał, a oni jego nie. Bo oni kochali siebie.

Tak bardzo kochali siebie, że już nic więcej kochać nie mogli i dlatego był smutny pan Zawisza.

A jak umierał daleko, to myślał tylko o niej.

O Polsce myślał pan Zawisza.

I mówił tak —

Za mgły teraz tonie,

Stamtąd się gwiazdy podnoszą

I lecą jak srebrne żurawie,

Nie mogę. Tam się obróć.

Głośno ją pobłogosławie,

Bo może ją na wieki porzucę

I zamienię na grobową

Ojczyznę.

I umarł Pan Zawisza daleko od Polski i nie ma tutaj nawet grobu, a przecież żyje. Przecież żyje więcej, niż ci, co teraz chodzą. Bo wiedzą o nim nawet małe dzieci.

Bo wie o nim cały świat.

I ojczyzna o nim pamięta.

I chodzi w chwale wielkiej, choć umarły.

Dlatego, że nie złamał nigdy słowa —

A nie dlatego, że był mocny i zwyciężał.

A gdy tak do nich mówiła, już dawno zgasły zorze i na ziemię upadł zmrok.

Siedzieli w zmroku, nie mówiąc, wszyscy przejęci słowami, które mówiła z książeczki. Taki miały czar te słowa, jak przed chwilą zorze od słonecznego spojrzenia. Zdawało im się przez mgnienie oka, że z mroku wyłania się postać pana Zawiszy Czarne.

Tam za oknem stoi na białym koniu z mgły — i czarna, lśniaca na nim zbroja. Takie ma oczy płonące, oczy słońca, oczy sztylety.

Wychodzą z czarnej zbroi, palą ją całą swą siłą.

Idą i idą przez noc, a świecą niby ogień wieczny.

Pan Zawisza na białym koniu z mgły. Pan Zawisza w czarną owinięty noc. Pan Zawisza z oczyma ze słońca grotów, co idą wieki i palą.

Palą tych, co go nie kochali, bo bardzo, bez miary kochali siebie.

Z białego konia zszedł. Koń się rozwił po łąkach.
Koń się rozwił nad wodą, a on idzie sam.

Idzie i patrzy.

Nie mówi nic. Nad oknem stanął i patrzy.

Mamo tam stoi Zawisza Czarny.

Patrzy się, patrzy i patrzy.

A ona odpowiedziała spokojnie.

A może tu szuka rycerza, który go ukocha.

Takiego, jaki był sam.

Sam z siebie.

Szli raz w najpiękniejszy majowy poranek do lasu.
Szła z nim przez pola i ogród i łąkę. Wiodła go za rękę —
choć się wciąż wyrывał — z nadmiaru macierzyńskiej
radości.

Ile razy spojrzała na jego dziecięcą wesołość, jakieś
niewypowiedziane uczucie szczęścia ogarniało ją zawsze,
a potem jak grot kłuła nagle myśl straszliwa, że to radość
krótka, jak piękność wiosenna, a potem czeka go przy-
szłość tajemnicza.

W parku drzewa wszystkie wypuszczały gałązki świe-
że, jasno zielone, kwitły kiściami bzy, z klombów wysta-
wały różnobarwne główki kwiatowe — a on ją prowadził
nad staw. Najwięcej bawiły go rybki, wychylające czasem
główki nad wodę. Rzucali im resztki śniadania.

Była to jego najmilsza zabawa.

Mamo, a coby robiły rybki, gdybyśmy im nie przy-
nieśli śniadania?

Szukałyby sobie w wodzie liści i ziarenek.

A gdyby już wszystkie liście i ziarenka zjadły?

Toby zjadały robaczki, żyjące w wodzie.

A jakby zjadły robaczki?

Toby się modliły do Bozi o pożywienie.

A Bozia ma zawsze, ile chce?

Ma ile tylko chce dla wszystkich i dla ludzi i dla
rybek i dla koników i dla ptaszków i dla wszystkiego,
co żyje.

A skąd On ma tyle wszystkiego?

Bo Jego jest cała ziemia i słońce i księżyc i gwiazdy.

A czy On mieszka w brylantowym pałacu?

(Zośka mu o takich mówiła).

Brylantowego pałacu nigdzie nie ma.

No to w złotym.

Ani złotego, ani srebrnego, ani On się w żadnym
pałacu nie zmieści.

Taki jest wielki?

Taki jest wielki, że nie zmieści się nawet w tym
całym ogrodzie, ani na łące, ani na polu, ani w lesie,
a jest wszędzie.

Widziałaś Go mamo?

Nie widziałam Go nigdy, nie widział Go człowiek
żaden.

To skądże wiesz o Nim?

Z tego wszystkiego, co ludziom robi i daje.

Nikt Go nie widział, ale Go znają niektórzy ludzie,
gdy robią coś dobrego.

Kiedy pierwszy raz, gdy będziesz większy, zrobisz
coś dobrego, to poczujesz, że jest koło ciebie. A gdy
będziesz potem duży i dokuczają ci ludzie i będzie ci
smutno, wtedy poczujesz, że jest koło ciebie. Nie zoba-
czysz Go, a poczujesz. Tak, jakbyś zamknął oczy, a słońce
cię grzało.

Nie widzisz słońca, a czujesz, że świeci.

Mamo, a kto zrobił słońce?

On — Bóg.

Wszystko On? I te drzewa, też zrobił i rybki?

I drzewa i rybki.

I konie i psa i kotka? A może i mnie także?

I ciebie synu także.

A potem mnie tobie darował?

Darował mi ciebie i inne dzieci.

Wyszli już z parku przez ogród, a właśnie kwitły blado-różowo jabłonie, jaśniej grusze. Oszalamiająca woń od sadu szła, sypały się płatki białe za każdym wiewem wiatorku.

Chciała odwrócić uwagę jego i zaczęła zbierać upadłe korony i bawić się nimi.

Ale on nie pragnął zabawy, tylko postawił pytanie, którego się bała.

Mamo, a kto zrobił Boga?

Ważyla długo odpowiedź, wskazał ją instynkt matki.

Widzisz to, co jest największe, musi powstać samo ze siebie.

A potem go prowadziła do lasu, gdzie się drzewa lekko kołysały od wiosennego wiatru.

Widzisz modłą się drzewa do Niego.

I wszystko razem z drzewami — nawet najmniejszy polny kwiatusek.

I trawki i robaczek i ziarenka piasku.

Wszystko, wszystko.

Tak jak dzieci rano i wieczór.

Tak jak dzieci.

A mnieś nie kazała modlić się z dziećmi?

Chciałam, żebyś usłyszał wpierw o Bozi w ogrodzie, gdzie się modlą kwiaty i drzewa, bo teraz, gdy się z dziećmi modlić się będziesz, to nie powtórzysz samego słowa.

Przeżycia dziecka trwają krótko, jak kwiat — tylko czasem zostanie z nich jakieś ważne wspomnienie. Pozostało w pamięci jego długo to przedziwne zdanie, które niewiedzieć skąd jej przyszło, że to, co jest największe, musi powstać samo z siebie. Sens jego zrozumiał daleko później, ale żyła w duszy ta chwila wiosennego przebudzenia sił wyższych i ona kiedyś przywołała na pamięć te słowa.

Testament.

Gdy wróciła do domu, babuni zrobiło się bardzo źle. Ale to nie był jeszcze koniec, tylko wielkie pogorszenie. Nie mogła poruszać ręką ni nogą. Potem zapadła w długi sen na kilka dni, a po przebudzeniu mówiła z swą ukochaną siostrzenicą. Najwięcej o tym, że już odejdzie do tych światów, za którymi ją dręczy nieukocona tęsknota. Już teraz, gdy spełniła swoje, nie pragnie niczego, tylko tam odejść.

Babunia leżała długo bez ruchu, a na świecie były pogodne, gorące dni lata. Wszyscy spędzali je poza domem, najczęściej w polu, przy żniwach. Dzieci lubiły bardzo jeździć wozem drabiniastym w pole, a jeszcze więcej na pełnym wozie do stodoły, ale że wtedy przeszkadzały w pracy, pozwalano na tę przyjemność tylko wyjątkowo. Zajęcia starszych były zupełnie oddzielone od świata dziecięcego. W tym świecie panowała tylko matka z p. Celiną i Zośką. Żadna ciocia ani wujkowie, ani dalsi, czy bliżsi krewni nie mieli wpływu na ten światek. To było wynikiem rozmów z babunią i miało tak zostać na zawsze. Nie chwalono się także dziećmi przed gośćmi, co wszyscy tłumaczyli okazałą ich liczbą, jakiej nie było przykładu w okolicy. Już Ziuk nie był najmłodszy, choć go babunia tak nazywała do końca, w kołysce już leżał maleńki Adaś, którego miała bawić Zośka. Ale Zośka wyprosiła sobie jeszcze płakaniem, że będzie pilnować ukochanego panicza.

Już zebrano z pola pszenicę i żyto i zabierano się do owsa.

Dzieci były z matką w polu, gdy nagle zawezwano dziedziczkę do starszej pani. Szła prędko, z niepokojem, dzieci zostawiła p. Cesi. Czula lękiem wewnętrznym, że teraz, to już koniec. Koniec — babuni nie będzie z nimi. Nawet te liche, w łóżu leżące kosteczki były jej drogie — wszak z nich jeszcze szła mądrość głęboka życia, szły skarby największe, które cenić umiała.

Babunia leżała jak człowiek nie z tego świata, przytomna, z błyszczącymi oczyma, z wypiekami na twarzy. Dusza ostatnimi promieniami oświecała opuszczone ciało.

Z tobą jedną chcę mówić przez chwilę.

Słowa szeptane, słabe.

Ale ty wszystko wiesz — to niepotrzebne. Ty wiesz wszystko przez miłość.

On będzie tym, który zwycięży.

On zobaczy nasze oczekiwania serdeczne.

Ale mu powiedz, ty matka, gdy będziesz odchodzić, aby uniół brzemie największe od tych walczących z aniołem. Niech idzie mimo nich. Ponad miłość, ponad ohydę. Niech idzie ponad siebie samego. Ponad siebie samego.

Tak musi być, bo potem musi dokonać rzeczy trudniejszych, niż tamto, obudzić anioła.

Nie obudzi anioła nikt, kto nie stanął ponad sobą. Będą szły z nim rzesze ubogich. Nie będzie samotny. Na jedno skinienie oddadzą mu swoje żywoty. Zawierzy mu naród.

Przecież zawsze była garstka po stronie anioła.

Zawsze na całym świecie — i zwyciężali.

Tak być musi, bo tak chce Pan.

Aby nie upadli na drodze.

Na Kalwarię ich wiedzie, aby nie zniżyli lotu.

Bo człowiek jest tylko człowiekiem.

Każde słowo kosztowało ogrom wysiłku, każde było przemyślane w te miesiące długiego, samotnego cierpienia. Wpadły do głębi duszy słuchającej — wpadły na samo dno serca.

Nie przyrzekała. Nie mówiły słowami, a jednak rozumiały wszystko do ostatka.

Kochałam ciebie. Szept ust cichy, niedosłyszany.

Matko...

Było w tym słowie matko tyle szczęśliwości i taka miłość anielska, że jej oświeciła twarz stygnącą blaskiem zaświatowym.

Była w tej chwili piękna, pięknnością świętych Pańskich.

Potem poczuła w sobie ostatek sił i chciała się pożegnać ze wszystkimi. I z rodziną i służbą razem. Trzeba odwołać wszystkich od pracy, bo ma im do powiedzenia rzeczy najważniejsze.

A oni myśleli, że będzie mówić o tym, co zostawia, że będzie robić testament.

Ubrali ją w ową czarną, odświętną suknię, łańcuch włożyli na szyję złoty z medalionem i owinęli siwe war-kocze koło głowy.

Okna były pootwierane na ogród, skąd szedł cudny zapach drzew. Jeszcze kwitły ostatnie lipy.

Twarcz jej i ręce miały bladość opłatka, który rozjaśniały rozświecone przedziwnym blaskiem oczy. Płynęła z nich siła z zaświata.

Ona otworzyła usta jak do modlitwy i mówiła swą wolę ostatnią. Nie spodziewali się takiego testamentu. Mówiła dobitnie każde słowo, przemyślała każde, aby sił starczyło do końca. Krewni nie wszyscy się pojawili, ale służba cała, dzieci także z matką, która trzymała Ziuka za rękę.

Mówiła do nich słowa z innego świata tak dalekie od tego, czego się spodziewali.

Było to 5 sierpnia rano, przed wschodem słońca, na stokach cytadeli w Warszawie. Mówię wam, na co patrzyłam sama, abyście to zapamiętali ode mnie jako ostatnie słowa pożegnania.

Pod cytadelą pięć szubienic, jakby pięć krzyży stało. Oczy wszystkich wyteżone na nie. Wojska rosyjskiego morze, a lud jeszcze liczniejszy czeka w śmiertelnym milczeniu.

Zajechało pięć wozów, na każdym więzień ze spowiednikiem.

O jakże byli spokojni, a jakże pewni wygranej przed Bogiem. Tam, gdzie prawdy nie zakryć nie może.

Dekret czytano długo, zda się nie skończą łańcucha ich win.

A oni się wtedy modlili.

Nie słuchali żadnego słowa, rozmawiali z tym, co wszystko wyrówna.

Staruszka przerwała chwilę, zmęczyła ją bardzo ta mowa. Szedł wyraz za wyrazem wolno, cicho, prosto z duszy, wielką siłą prawdy i prostotą powiedzenia.

Pamiętajcie, pięciu ich było — Rząd narodowy — a wśród nich ostatni i pierwszy Traugutt dyktator.

Pamiętajcie, pięciu ich było, a on zginął ostatni. Taka cisza wtedy była wśród nieprzejrzanego tłumu, jak będzie wtedy, gdy przyjdzie Boży sąd.

A potem płacz nieprzerwany.

Pamiętajcie, że tam był Boży sąd. Pamiętajcie, że to byli ostatni, walczący daremnie, Bóg przyjął ich ofiarę.

Chciała mówić więcej, ale opadły ją siły.

Spoczywała. Usta szeptały modlitwę.

Milczeli wszyscy obecni. Tylko najmłodszy z nich Ziuk, który nigdy jeszcze nie widział słabości i śmierci, a nad wiek i oczekiwanie rozumiał, co mówiła, wyrwał się od matki i ku jej zdumieniu stanął przed babką. Popatrzył na nią zdziwionymi oczyma, bo dopiero teraz zobaczył, że była zupełnie zmieniona i wśród ogólnej ciszy rzucił niespodziewane pytanie.

Babcu, a oni wszyscy pozwolili na to?

Wtedy stała się rzecz nieoczekiwana.

Staruszka wyciągnęła ręce do wnuka. W tym wyciągnięciu rąk było całe jej życie uciekające. Anielski, nieznanemu od lat uśmiechom zajaśniał na jej twarzy. Zdawało się, że nie może pomieścić radości. A że już mówić nie mogła wiele, bo nadmiar uczucia zabrał jej resztki siły, więc tylko dotknęła mu czoła ręką stygnącą i błogosławiła.

Potem już szeptał cichy.

Pamiętaj, nie pozwolisz na pohańbienie narodu.

A gdy ją do łóżka składali, powiadały jeszcze usta ciche, że chciała umrzeć jutro w rocznicę przyszłą, ale to lepiej, że dziś. Nie wiedział nikt, dlaczego lepiej, ale nie dożyła rana.

List z Sybiru.

Od pogrzebu babuni upłynęło już parę miesięcy. Jest zima. Zbierają się często na bajki. Pruszy, pruszy śnieg. Raz przed dom zajęchały saneczki i wyszła z nich pani, z którą się mamusia bardzo serdecznie witała. Całowały się długo i płakały. Rozmawiały same, a potem zwołano starsze dzieci. Ziuk już należał do starszych, bo miał 5 lat. Powiedziano mu, że przyjechała z Wilna pani Grabowska, której córka jest na Sybirze. Tam, gdzie wywieziono powstańców, tam, gdzie jest bardzo zimno i bardzo źle. Pani Grabowska przywiozła list od córki, który nosiła jak skarb, i który dawała czytać najbliższemu, tym, co znali jej córkę, Oskierkową, która przed paru laty wyjechała na Sybir do narzeczonego. Pani Maria sprawiła, że list będą czytać głośno przy dzieciach, cici Steni, pannie Cesi i Zośce. I jeszcze parę osób dopuszczono do tej uroczystości.

Ten list wywiózł jakiś wygnaniec, co wracał stamtąd, więc w nim pisała swobodnie. Pismo było drobne, w małych odstępach, aby jak najwięcej zmieścić na małym papierku.

Najdrożsi!

Gdy ten list do Was przyjdzie, przywiezie go człowiek wolny. Nie zrozumie nikt radości tego słowa wśród Was. Jest w nim słońce Litwy i woń lip przy domu i dzwony wieczorne kościółka i szum naszego życia i wszystko, wszystko, co było tam, a czego tu tak bardzo brakuje.

Ale nie myśl Najdroższa Matko, że to skarga, albo

jakiś żal tego kroku, który uczyniłam. Jeśli idzie o własne szczęście, to je mam, mimo wszystko w poczuciu, że kocham kogoś, kto nie tylko jest mój, wybrany z tylu ludzi, ale że miłość nasza ma coś z największych rzeczy, że nie może minąć razem z młodością i urodą, że nas złączył najsilniejszy węzeł, wspólna niedola i wiara w człowieka.

Nie — tego wam opisywać nie będę, jak urosłam w jego oczach przez to właśnie, że przyjechałam z nim dzielić wygnanie i cokolwiek będzie potem. Ja to szczęście zawdzięczam Tobie Matko, żeś mię nie uczyniła salonową laleczką, co się pyta, jak ludzie o jej krokach mówić będą, lecz poszłam za głosem serca.

Wierz mi Matko, że serce zrobiło bardzo mądrą rzecz i wśród dostatków i ludzkich ukłonów nie byłabym nigdy tak szczęśliwa (myślę o starym p. R., który mię chciał odbić), jak tu w tej małej chatce, jakie sobie sami wygnańcy budują. Gdy przybyłam, chatka już była gotowa na moje przyjęcie. (Ile to czasu minęło już od tej chwili, a ja Wam nie mogłam wcześniej donieść o niczem). Czekają mię w niej polne kwiaty, bo jeszcze był koniec lata. Ksiądz wygnaniec pobłogosławił nasz ślub. Jest to staruszek, który już drugi raz pokutuje za swoje bohaterstwo. Walczył już w 31 r., potem go wygnali na lat 28 i poszedł znów walczyć. Opowiada nam nieraz o tym swoim pierwszym wygnaniu na Kaukazie. Mówi o cudownej wiosnie, którą tam przeżywał tyle razy i maluje całe zastępy ludzi tak innych, od nas, a takich ciekawych. Od niego uczyć się więcej, niż kiedykolwiek ze szkoły i książek, on mi rozszerza horyzont i uczy inaczej patrzeć na ludzi i świat.

Matko, gdy my tu wygnani wrócimy kiedyś, do domów naszych (a mam tę wiarę, że wrócimy), to będziemy ludźmi przemienionymi.

Nikt nas z Waszych nie pozna, bo Wy życie spokojnie, orząc, siejąc i zbierając, albo pracując w miastach macie swoje małeńkie koło, poza które rzadko kto wy-

glądnie, a my tu stykamy się z całym morzem przeżyć ludzkich, które do nas woła i opowiada i uczy. Poznajemy prawdę o człowieku, bo tu nikt nie kłamie — cywilizacja tu nikogo nie zmusza do blichtru i poznajemy to, co było najidealniejsze w Polsce, bo to wszystko (o ile jeszcze żyje) zesłane. Tej nauki zdobyćby nie można za żadne skarby, a ona też tania nie jest, bo ją oplacamy tęsknotą. Ale — widzisz Mamo, jaki to będzie skarb przeżyć, który zaniemiemy do Polski. To będzie szło na nasze dzieci i cudze i będzie im rozszerzać świat.

Nie skończyłam Ci o tym, jak nas ksiądz Białkowski błogosławił. Myślisz, że mogło być piękniej, gdyby to wszystko odbyło się w naszym dworze. A może jeszcze ze starym hrabią R. Byłyby karety i ciężkie, jedwabne suknie, i klejnoty i wielkie mowy o naszych rodach i zaszczytach, jaki jeden drugiemu robi i tysiące nieszczerych gratulacji i szczerych, ukrytych uśmiezków, a ja byłam wtedy w prawdziwym więzieniu, choćbyśmy nawet pojechali zaraz w podróż poślubną do krajów wolnych. A tu było tak. Ten bohaterski starzec spojrzał na nas klęczących, związał dłonie i przemówił. Krótco, cicho, spokojnie, a nami wstrząsnął dreszcz.

Płakała ta mała gromadka wygnańców, co stali jako świadkowie. Czuliśmy, że to jest sakrament prawdziwy, Pańskie dusz połączenie. On radował się w sercu, miłością człowieka przepelnionym, że nas może błogosławić i że nam na drogę życia chce dać swoją wiarę w jutro. Mówił jak ktoś, kto z Bogiem rozmawiał, że się to jutro stanie. To jutro, dla któregośmy szli. Błogosławił miłością taką, co miała odwagę. I zapłakał. A myśmy wtedy, patrząc na jego siwiuteńką głowę tak przemienioną wiarą, taką słodczy niewymownej pełną, słodczy płynącej z przebytej już męki, unieśli się myślą nad ziemię i nad wszystko, co jest w czasie i nad wszystko, co jest zjawą tylko, a formą. Zdaje mi się, że raz tylko można przeżyć tak

górne chwile, a zostaną na życie całe skarbnicą, wizją anielską, pamiątką najdroższą. Matko, ja w domu byłabym tygodniami całymi przygotowywała wyprawę, tybyś była z trudem zbierała na nią pieniądze (wiem, że jesteście wyniszczeni), a tu dostałam skarby, o jakich Wam nie marzyć, ani jakich jeszcze zrozumieć nie możecie. A było to w małej, drewnianej chacie, bo jeszcze nam kościółka zbudować nie pozwolili.

Za wiele mówię o sobie, a tu przecież tylu nas jest, o których wieści powinny się dostać do Was. Zaprzyjaźniłam się z p. Gudzińską. Słyszałaś pewno o niej, bo nadto znane jej czyny i kara, ale ja widziałam rany. Wyobrazić sobie trudno, jak mógł człowiek znęcać się tak nad drugim człowiekiem, nad kobietą. Ona musiała być bardzo piękną — a teraz całe ciało jakie okropnie zbite. Powiedzieliby wasi, że to jest inna sfera. O jakże to słowo straciło dla mnie sens wszelki. Właścicielka piwiarni byłaby w Waszym dawnym pojęciu rodowym kimś, do kogoby się mówiło z poczuciem wyższości. Wierzcie mi — teraz wiem, że jej jeden paluszek więcej wart od całego zastępu laleczek z Waszego świata. Piszę Waszego, bo moim już być przestał.

Złączyłam się dobrowolnie z nędzą i bliscy mi są tylko ci, co umieli cierpieć dla sprawy, gdy przyszła chwila, że się to stało obowiązkiem. Pani Gudzińska była wleczone tu razem z przestępcami. Ta prosta kobieta, która nie odebrała naszego wykształcenia, umiała się tak podnieść i tak wyszlachetnić przez tę okropną drogę, że ją tu uwielbiamy jak świętą i teraz, gdy jest bardzo chora, każdy z nas myśli o niej jak o najbliższej sobie. Nie braknie jej tu niczego, ale trzebaby cudu, aby to zbite, udrećzone ciało mogło żyć jeszcze w tym kraju. Taki tu brak słońca i zieleni. Trzy miesiące lata i wszystko się kończy, a potem białe i białe, jednostajnie i smutno. Za naszą osadą ciągnie się olbrzymi las. Chodzimy tam często sami. Takie

to inne, niż nasze rozśpiewane bory, które szumią nad głową i grają pieśni, w których czuć duszę poważną, zamyśloną, dostojną. I takie prześliczne kolory. Cisną nam się wspomnieniem mickiewiczowskie obrazy i wtedy tęsknimy jeszcze więcej.

Jest tu pod lasem cmentarz, który często odwiedzamy. Co grób wygnańca, to jakaś zamknięta tragedia. I zapomną ludzie, którzy tu chodzą, ile trzeba było przejść, nim się to uciszyło, co w ziemi. Na jednym krzyżyku napis krótki Cairroli Ludwik, Włoch — zesłany. My wiemy, ile tam okropnej treści w tych wyrazach. Walczył za naszą wolność. Widzisz, a u nas zwątpili, czy trzeba było. Powiedz im — cudzoziemiec, Włoch, nie wahał się. A był młody, szczęśliwy, kochany. Miał narzeczoną, która czekała na jego powrót. Ach czemuż nie zrobiła tak jak ja. Byłaby go jeszcze zobaczyła, byłby z pewnością żył. Zabiła go wieść radosna, że już wolny. Nie mogło tej radości znieść słabe ciało. Jakże musiał kochać swoją ojczyznę i ją, do której miał wrócić. A przecież sprawa nasza była dla niego czemś jeszcze więcej. Widzicie, czemś jeszcze więcej.

Jest tu i grób takiego, który się zastrzelił z rozpacz. Ale nikt z nas nie rzuca wyroku, sam Bóg wie, czy to nie było za wiele. Dzieci mu zabrano do Petersburga i wiedział co się z nich stanie. Może nie chciał usłyszeć kiedyś od nich języka wrogów, może nie chciał, aby go uwolnili z więzienia przez swoje wpływy. I wołał to. Bo żony już nie miał zobaczyć. Jechała do niego i nie dojechała.

Widzicie — to są nasze ciche tragedie. Wyrwa się z nich do nieba jakieś straszne wołanie. Czy myślicie, że nie będzie słyszane dlatego, że takie ciche, że już pokryte mogiłą?

Tam, na tym wielkim sądzie, gdzie się gotuje przyszłość świata, mogiły muszą mieć taki sam głos, jak życie. Bo tam się patrzą z wysokości na świat — z tej wysokości, gdzie nic nie znaczy krótkość naszego żywota.

O jednym Wam jeszcze powiem człowieku, co mi się wrył w pamięć swoją twarzą apostolską. Był tu krótki czas, a pozostawił pamięć wśród nas. Wszyscy Rosjanie się zbiegli, by oglądać Machajłowa. To był męczennik za swój lud. Walczył o jutro Rosji — rewolucjonista. Jeden z takich, co byli przyjaciółmi Mickiewicza. Mógł uciec, a nie chciał, wierzył, że przykład jego męki potrzebny dla ludu. Miał dla nas wygnańców cześć i my dla niego też. Mówiliśmy jak człowiek do człowieka, nie pomni, że to dwa wrogie narody. Bo naród narodowi nie może być wrogi, nienawidzi się tylko małość w nim. My nienawidzimy potworną duszę niewoli, ale wiem, że w narodzie muszą być skarby ukryte, skoro mógł stworzyć takich Michajłowów i skoro oni budzą jego cześć. Może to jeszcze za wcześniej Wam mówię.

Wy myślicie jeszcze dawnymi myślami, a myśmy poszli daleko. Niechże moje słowo zanieś Wam prawdę samą. Widzicie, nie wszystkim tu tak dobrze, jak nam. Przecież ich pędzono w kajdanach tyle miesięcy przez syberyjskie mrozy. Spotykałam na drodze pędzonych. O jakże mi wtedy wstyd było, że jadę wygodnie, ja, która nic jeszcze nie zrobiłam dla Polski, a oni bohaterowie idą razem ze zbrodniarzami.

Okrutną drogą wiedzie Stwórca świat. Każe czy pozwala urągać z najpiękniejszego cudu ziemi — brutalnej sile. Byłabym szemrała na to, siedząc w cichym dworku, pochylona nad pamiętnikiem z Sybiru, ale teraz ja czuję już, że jest jakaś mądrość głęboka w tym. Czy wiecie, że ja nawet to już zrozumiałam, jak wiele szczęśliwszy jest ten, kto cierpi dla dobrej sprawy, niż uciskający go, mocny człowiek. Doszłam już do tego, że czuję litość dla Wiesza-tiela i myślę, że jest biedniejszy, niż każdy z nas — niż nawet ten, co się zabił sam. Bo on wiedział, że Bóg mu przebaczy, a tamten okropnie musi się lękać śmierci. Więc już kończę to długie, długie pisanie.

Chciałam w nie włożyć wszystko o naszej gromadce, o naszym wspólnym życiu całą prawdę.

Matko, jakie to będzie szalone szczęście, gdy my się znów zobaczymy. Dopiero teraz wiem, co to jest moja Litwa, dopiero teraz czuję, co to jest taki letni poranek w naszym pachnącym sadzie, albo wieczorem, gdy lipy kwitną przed domem, sięść i słuchać, jak wszystko wraca z pola. Złoci się niebo, a potem wychodzą ciche gwiazdy.

Patrzmy w każdej chwili wolnej na zachód i południe, na Litwę.

Nie potrafi nikt opisać ciszy, jaka powstała podczas czytania listu. Szła od niego jakaś wielka siła, która usta zamyka i nie pozwala wymknąć się słowu. Nie przerywały dzieci, nie rzucały pytań żadnych. Ciocia Stenia płakała. Ona знаła dobrze więzienie, przebyła w nim tyle miesięcy. Panna Cesia powtarzała niektóre słowa listu cicho, a Zośka... O nie była to już ta Zośka, co kiedyś nienawidziła. Czekaјta, czekaјta — przyjdzie taki, co wam za wszystkich odda.

Potem, gdy już pani Grabowska odjechała, jeszcze całymi dniami mówiono o Sybirze. Każdy coś sobie przypominał. Wyciągano listy stare. A chłopcy już nie pytali, czy lepiej być czerwonym, czy białym.

Duszyczka.

Siedzieli raz z matką nad Merą. Ziuk i ona. Inne dzieci bawiły się z panną Różą. Mera płynęła wstęgą niebieską, a nad jej brzegami rosły różnokolorowe kwiatki. Moc kwiatów pachnących, bo był to koniec wiosny. Chłopiec patrzył na wodę. Bawiły go rybki, bawiło go dno wody, które można było widzieć — tak była czysta — i różnokolorowe kamyczki. Matka wiedziała, że niedługo, gdy już nacieszy się patrzeniem, będzie jej stawał pyta-

nia, które bardzo lubiła. Były takie inne, takie poważne, choć nieraz trudno było na nie odpowiedzieć. I myślała. Czy też długo będę mogła odpowiadać na jego pytania? Potem mię przerośnie, a potem mnie już nie będzie, a on zostanie sam. Będzie samotny. Tamci nie będą, a on będzie.

Mamo, a dlaczego Mera jest taka niebieska?

Bo się w niej niebo odbija.

A dlaczego jest niebo niebieskie?

Widzisz, nie ma żadnej chmury. Ani jednej. Tak mu jest dobrze, jak duszyczce, która nic złego nie zrobiła.

Pokaż mi mamo duszyczkę.

Duszyczki ci pokazać nie mogę, bo jej nikt nie widział.

Tak jak Pana Boga?

Tak jak Pana Boga.

A ona jest u Niego?

Jeśli jest dobra, to ją bierze do siebie, a jeżeli zła, to ją wyrzuca.

A czy ją wtedy można zobaczyć?

Ani wtedy nie można.

A kto ma duszyczkę?

Każdy ma swoją i ja i ty i każdy.

A Bryś? a Kasztanka?

Mają inną, niż ludzie.

A czy ją usłyszę kiedy?

Usłyszysz, gdy będziesz duży. Gdy nie będziesz wiedział, co robić, zapytasz się swojej duszyczki. Ona już wtedy nie będzie duszyczką, tylko duszą. Chciałabym, żeby była taka, jak Mera.

Taka niebieska?

Taka sama. — Żeby się w niej odbijało niebo bez chmur. Bo widzisz najładniejsza jest dusza niebieska, w której się odbija samo niebo ze słońcem.

Dlaczego najładniejsza?

Bo widzisz, tam jest Bóg. Chociaż jest wszędzie, ale tam najwięcej. I stamtąd patrzy. A te dusze, które są bardzo dobre, są bliżej Niego. I kocha je.

On zrobił wszystkie duszyczki, ale nie wszystkie Go kochały.

Dlaczego Go nie kochały?

Bo je namówił duch zły. Widziałeś go raz na obrazku.

Z rogami i cały czarny?

Tak — ten sam. Chciał aniołowi odebrać duszyczkę, lecącą do nieba.

Ale mu się nie udało?

A nie udało mu się, bo duszyczka była dobra i nie chciała. Ale są takie duszyczki, co się odebrać dadzą.

Bo widzisz, kiedy Pan Bóg stworzył duszyczki, to były wszystkie dobre i żyły w raju.

Gdzie to jest?

Teraz już nie ma raju, ale był dawno, dawno, kiedy wszyscy jeszcze byli dobrzy.

Było tam prześlicznie.

Jak u nas w Zułowie?

E, jeszcze ładniej.

Może być jeszcze ładniej?

A może. Bo były jeszcze takie drzewa z pomarańczami i migdałowe, które miały różowe kwiaty i winogrona i góry bardzo wysokie i morze, które szumiało, szumiało, śpiewało wieczorem i jezioro. A było zawsze słońce i pogoda. I byłyby tam żyły duszyczki, bez końca w tym raju, gdyby były posłuszne Panu Bogu.

A co im kazał robić?

Nic — tylko, żeby się kochały i żeby były dobre dla siebie. Tego jednego — powiedział chcę, abyście się kochały, jak ja was kocham. Tak jak gdybym ja was prosiła, byście się kochali i nic więcej.

A one nie chciały?

Widzisz każda kochała bardzo siebie i tylko siebie.

Każda chciała, żeby to wszystko, co jest, było jej, tak jakby innych duszyczek nie było, tylko ona sama. A co się jednej podobało, to zaraz inna chciała tego. Choć miała takie same i jeszcze ładniejsze, to chciała tego samego, co tamta. I nie chciały sobie ustąpić, ale się wciąż sprzeczały.

A może się biły nawet?

Potem się nawet bić zaczęły i wyrywać sobie owoce, choć ich dosyć było, a mogło być jeszcze więcej, tylko trzeba było zakopać pestki do ziemi, a potem podlewać wodą. Ale nie chciały tego. Wołały się kłócić i bić.

Więc je Pan Bóg wyrzucił z raju, aby nigdy nie wróciły do niego. I dlatego my nie wiemy, gdzie jest raj, bo go Pan Bóg spalił zaraz potem, a duszyczkom kazał ciężko pracować i męczyć się o wszystko, za to jedno, że się nie kochały.

Bo nie ma rzeczy ładniejszej na świecie, jak kochać ludzi. Wszystkich — wszystkich.

Nawet tych, co są źli?

Nawet tych, co są źli, bo się przez to staną lepsi.

A jeśli będą źli jak tamte duszyczki, co się biły, to trzeba ich rozpędzić.

Nie — nawet takich trzeba kochać.

A Pan Bóg rozpędził złe duszyczki?

Bo to widzisz był Bóg, który je stworzył i wiedział wszystko. A człowiek nie wie wszystkiego. Ma czekać, aż przyjdzie Bóg i co złe, usunie sam.

A długo trzeba czekać?

Czasami bardzo długo — czasami całe życie.

Nie można czekać mamó, bo one nabroją za dużo.

Więc co chciałbyś zrobić synu?

Wyrzucić złe duszyczki daleko, daleko, żeby nie wróciły nigdy.

A jakby się wyrzucić nie dały?

Tobym dobrym duszyczkom kazał bronić bramy do raju.

Ale widzisz, że dobrych za mało, a tamtych zawsze moc wielka.

Anioły stają.

Przeszła wiosna i upalne lato i przyszła wiosna nowa. Chodzili do brzezinki i dalej do starego boru.

Cudowne, samotne rozmowy. Umiała odpowiadać na trudne pytania, które jej zadawał. Czasami brała cudowną książeczkę i czytała mu z niej. Czytała jemu samemu, choć wiedziała, że pojąć nie mógł sensu.

Cieszył go cudny dźwięk słów.

Anioły stają na rodzimych polach
I chcąc powitać, lecą w nasze strony
Ludzie schyleni w nędzy i niedolach
Cierniowymi się kłaniają korony.

Idą i szyki witają podrózne
I o miecz proszą tak jak o jałmużnę.
„Postój, o postój hułanie czerwony,
Przez co koń twój zapieniony skacze?
To nic — to mojej matki grób shańbiony,
Serce mi pęka, lecz oko nie płacze”.
Koń dobył isker na grobie z marmuru,
I mściwa szabla wylazła z jaszczuru.

Przerwała — spojrzała na jego twarz. Słuchał, nie pytał o nic. Zdziwiła się, że nic nie mówi, że nie stawia żadnego pytania, ale on milczał uparcie. Czuli, że go to nad wyraz zajęło.

Im starszy, tym coraz mniej pytał i mówił, ale tym więcej coś sobie kombinował sam. Więc nie przerywała milczenia — zostawiła jeszcze słowo pocie:

„Ojczyzny nieśmiertelnej serce wielkie niech słyszę
Ciągłe w sobie bijące — a na wielką się ciszę

Przygotuję — że żadnych stąd oklasków nie będzie,
Chyba gdzieś jakieś pary, białe, wodne łabędzie
Po stawach ukraińskich albo też i nad nami,
Które są echem kraju... i muzykantami
Niebios“.

Jakże mu się podobało to cudowne śpiewanie poety.
Jak słucha, słucha, słucha. Im więcej milczy, tym więcej
czuje. Ona matka to wie. Chciała wstać, wrócić do domu.

Mamo jeszcze.

Powiedział to takim głosem i z takim spojrzeniem,
że się jej radowała dusza.

Przeczytała, tak pełne znaczenia słowa i po nich
zamknęła książkę.

A jednak ja nie wątpię, bo się pora zbliża,
Że się to wielkie światło na niebie zapali
I Polski Ty o Boże nie odepchniesz z krzyża,
Aż będziesz wiedział, że się jako trup nie zwali.

Nie pytała, czy rozumie, nie tłumaczyła.

Ten, który był tytanem, niech mówi sam.

Dla kogo jeszcze za wcześniej, ten nie słucha.

Nie do wszystkiego idziemy rozumem — przypomniawszy
sobie słowa babki. Nigdy nie wydały jej się pradziwne,
niż w tej chwili, gdy dziecko wsłuchiwało się w te dźwięki,
jak mały grajek wieczorem wsłuchuje się w wołanie lasu.
Nie mówi nic, a patrzy, nie śpiewa sam, a słucha. Oczy
nie widzą, uszy nie słyszą, co jest, poza tą wielką muzyką
przyrody. Czy rozumiał — czy pojął? Któżby na ludzki
rozum to powiedział?

A jednak on potem wyśpiewał wszystko na swojej
fujarce głębiej i piękniej, niż wielki mędrzec rozprawia-
jący o prawach i tajemnicach przyrody.

Dobrze nam tu — pomyślała. — O jak nam dobrze
razem. — I potem nagle ściśnięcie serca, przecucie.
A może już ostatni raz tak nam dobrze. Więc będę jak
najdłużej z nim samym, który ma cierpieć najwięcej.

Burza.

Żar z nieba palił i męczył wszystko, co żyło. Upał
kazał wróżyć burzę. Już wiatry, jej zwiastuny zaczęły raz
po raz zaciągać. Wrócili do domu. Ale burza jeszcze nie
przychodziła, choć po obiedzie zrobiło się jeszcze więcej
parno.

Dzieci zaczęły prosić o bajkę. Opowiedz nam mamo
taką bajkę, jak w zimie, nim przyjdzie burza.

Już wam tyle opowiadałam.

Ale mama zawsze potrafi.

Krótki namysł. Opowiem wam o pani Dobroci.

Dobrze, dobrze o pani Dobroci.

Szła raz przez świat pani, która się nazywała Dobroć.

Czy była ładnie ubrana? — spytała Helenka.

Miała sukienkę niebieską i niosła w rękach kwiaty.
Kwiaty śliczne, pachnące. Dawała je tym, co nigdy nie
widzieli kwiatów.

A są tacy ludzie, co nie widzieli kwiatów? — spytała
Zula.

Są ludzie, co całe życie mieszkają w piwnicach, do
których nigdy nie dochodzi słońce, ani żaden kwiatek
kwitnąć nie może. A są tacy, co pracują w kopalniach
głęboko pod ziemią. Cały dzień wożą węgiel, a wieczorem
wracają do domu.

I nigdy nie widzą słońca?

Tylko latem, gdy dzień jest długi. Latem, gdy się inni
chowają przed słońcem.

Czemu nie niosła słońca? — spytał Broniś.

Bo gdyby mogła nieść słońce, byłaby nie dobrocią
tylko, a Panem Bogiem.

A Pan Bóg nie jest dobry jak ona? — spytał Ziuk.

Pan Bóg jest jeszcze więcej, niż sama dobroć, ale
chce, aby ludzie nie czekali na niego, tylko jedni drugim
dobrze robili i dlatego nie daje wszystkiego.

A dlaczego jednym daje dużo, a drugim mało?
Bo chce, aby ci, co mają więcej, dawali sami biednym.
Ale musicie słuchać o Dobroci.

Więc szła Dobroć przez pola zielone na wiosnę i zobaczyła na drodze dziecko, co bardzo płakało. Biedne miało sukienki potargane, szło boso i było bardzo chude. Dobroć pocałowała je w główkę i zapytała, czego płacze.

Bom głodny — powiedział chłopczyk.

A w domu jeść ci nie dała matka?

Nie mam już mamy, ani tatusia, ani Rózi (to była widać starsza siostra). Nie mam nikogo.

Wzięła więc dziecko za rękę, obmyła w strumieniu, dała nowe, czyste sukienki i poprowadziła do miasta. Tam w wielkim mieście szedł przez ulicę pogrzeb bogatego dziecka. Miało wszystko, co tylko pomyśleć można, mogło się ubierać w złote i srebrne sukienki, a umarło. Rodzice nie mieli już więcej dzieci, więc idąc za trumną, bardzo i bardzo płakali. Pogrzeb mu sprawili taki piękny, że aż całe miasto wyszło wyglądać. Dwunastu lokaji niebiesko ubranych z białymi piórami szło koło trumienki i nieśli grube, wielkie świece płonące, a karawan był cały ubrany kwiatami. Same białe, najdroższe kwiaty, nie było żadnego innego. Białe róże i lilie, tuberozy, dzwonki różne białe i konwalie. A tak pachniały, jak kiedy na wiosnę idzie od olbrzymiego lasu woń w słońcu.

Dobroć zmieszała się z tłumem ludzi i prowadziła tak chłopczyka, że go zobaczyła matka umarłego dziecka, gdy już wracała.

Zapłakała więc głośno i powiedziała do męża swego.
Taki duży jak nasz Miciuś.

Ja też jestem Miciuś — powiedział chłopczyk.

A Dobroć zbliżyła się i szepnęła.

Przyprowadzę wam go do domu.

I przyprowadziła za parę dni, gdy już im trochę lży obeschły. Ale pani bogata nie chciała wziąć innego Mie-

ciusia, mówiąc, że jej dziecko było pańskie, a to jest po biedakach.

A czy tam nie jednakowo śpią biedni i bogaci? — zapytała Dobroć.

Tamten był taki ładny i taki dobry i tak mię kochał bardzo.

Uczyni tak, aby i ten był dobry. Mały jest jeszcze, możesz z niego uczynić duszyczkę prześliczną.

Ale ja kochałam tamtego, bo był mój.

Nie mogę kochać innego Miecicia, boby mi tamten wyrzucił z grobu, że go zapomniałam.

A wtedy Dobroć uśmiechnęła się łagodnie i tak mówiła.

Tamten był twój, więc go kochałaś. Ale on jest teraz tam, gdzie ludzie nie kochają tylko siebie, a czynią dobrze. A jeśli przez to, że weźmiesz to dziecko, on prędzej pójdzie do nieba?

Gdyby tak było, wzięłabym to dziecko i inne do siebie.

Więc weź to jedno. A jeśli ci będzie przez to lepiej, to pójdiesz tą drogą. Tylko pamiętaj, że to Micio. Nie zapomnij, że to twój Micio.

Mamo, a czy ta pani była dobra dla drugiego Miecicia? Czy go tak kochała jak pierwszego?

Nie była tak dobra, bo ją zepsuły dostatki i Micio uciekł od niej, a jej było odtąd bardzo i bardzo źle na świecie, bo już jej nic nie mogło dać pociechy.

A gdyby była dobra dla Miecicia?

A gdyby była dobra, toby go tak kochała jak swojego i byłaby przez to szczęśliwa. Boby wciąż myślała, że swemu Miciowi dobrze robi.

A pani Dobroć nie jej nie pomogła?

Chciała. Chodziła do niej i prosiła, ale o wiele trudniej pomagać bogatym, niż biednym, a oni są nieraz daleko nieszczęśliwsi, niż tamci, bo ich nikt nie kocha na prawdę.

A tamtych kochają na prawdę?

Jeśli się kocha biednego, to już tylko jego samego, a nie jego dostatki.

A co potem zrobiła pani Dobroć?

Modliła się do Pana Boga, aby jej wskazał najlepszą drogę.

I tak się stało.

Gdzie poszła, gdzie poszła pani Dobroć?

Poszła na cmentarz.

Szła i patrzyła, szła i patrzyła. Widziała jak ludzie płakali i tak myślała.

Nie ci są najbiedniejsi, którzy płaczą, ale ci, co już płakać nie mogą.

Na samym końcu cmentarza zobaczyła na opuszczonym grobie człowieka, który klęczał i skarżył się matce swojej. Dotknęła lekko go dłonią, ale on nie widział jej i nie odwrócił się wcale, tak był smutny. Wtedy powiedziała cicho: Przyszłam od matki twojej.

A ona na prawdę przyszła od jego matki?

W swoim serduszku usłyszała jej słowa.

On się wtedy ocknął jak z głębokiego snu i powiedział.

Gdyby ona tu była, nie byłoby mi tak źle na świecie.

Dlaczego ci tak źle na świecie?

Bom od ludzi niczego nie zaznał, tylko złość i krzywdę. Wyzuli mię ze wszystkiego, co miałem. Kłamstwo i złość rządzi światem.

A Dobroć do niego mówiła, jak kiedyś matka prawdziwa.

Synu, krótka jest droga kłamstwa i złość zawsze musi być zwyciężona przez miłość.

Cóż mi, cóż mi pomogą te słowa, kiedy mi zabrali wszystko dlatego, że im wierzyłem.

Dlatego, że złych spotkałeś, nie mów, że innych nie ma. A gdybym ci pokazała takich, co ci oddadzą za tamtych, czy im potrafisz przebaczyć?

Przebaczyć taką krzywdę szaloną?

Ale go wzięła cichutko za rękę i wyprowadziła z cmentarza.

Szli przez pola i łąki i lasy. Szli przez miasteczka i wsi.

I góry i rzeki.

I góry i rzeki.

Aż zaszli do domu dużego, w którym pracowali ludzie.

Puk, puk. Puk, puk.

Kogo to prowadzi pani Dobroć?

Prowadzę skrzywdzonego człowieka.

Otwórzcie, otwórzcie mu prędko, bo sami tacy tu mieszkają.

Mieszkali tu sami tacy.

Co tu robicie skrzywdzeni ludzie?

Naprawiamy to, co zepsuli inni. Uczymy wierzyć w miłość.

Uczycie wierzyć w miłość.

A jakże to można nauczyć?

Chodź i zamieszkaj z nami. — Długa, długa droga, wiele, wiele trudu. Ale się w końcu przekonasz i uwierzysz. A kiedy uwierzysz, zrozumiesz wszystko. Wtedy i tamtym przebaczysz.

I poszedł człowiek skrzywdzony do tych, co naprawiali krzywdy, bo im z twarzy widać było prawdę.

Jak im widać było prawdę z twarzy?

Przez oczy i przez usta i przez uśmiech i przez patrzenie.

I czuć było, że są dobrzy, bo człowieka dobrego czuje się i lubi od razu.

A co oni robili dobrego?

To byli tacy, co wszystko, co mieli, oddawali biednym, a sami żyli bardzo skromnie i pracowali.

A tamci ich nie oszukają? — wtrącił najmłodszy.

A choćby ich nawet oszukali, to oni i tak nie ustąpią, tylko będą szli drogą swoją, aż spotkają takich, co im uwierzą.

Jak im uwierzył ten biedny człowiek, którego do nich Dobroć zaprowadziła. Uwierzył im i mieszkał z nimi i było mu dobrze do końca życia.

I nigdy już więcej nie płakał.

Nigdy nie płakał już więcej?

Ani raz, ani jedyny raz. A tamtym, co go skrzywdzili przebaczył.

Nawet się śmiał, gdy mu kto o nich wspominał. Śmiał się, jakby to była rzecz mała.

Taka mała, co nic nie znaczy.

A to nie była rzecz mała?

Mała była, maleńka wobec tego, że go nauczyła rozumieć rzeczy najtrudniejsze i że przez nią pokochał nade wszystko Panią Dobroć. Tak, jakby była jego matką. Tak, jakby była czemś najukochańszym.

Mamo, a nam to będzie trudno kochać panią Dobroć? (pytanie Ziuka).

Nikommu nie jest trudno, kto chce.

Ale my jesteśmy bogaci.

Bogatym jest trudniej, ale zawsze mogą, gdy zrozumieć.

A potem dodała.

A czasem, to Pan Bóg bierze bogactwo, by zahartować, a czasem bierze, by prowadzić wyżej.

Zapomniał o tej rozmowie, zapomniała ona. Upłynęło parę tygodni.

Pewnego dnia pogodnego pojechali rodzice do Wilna w ważnych sprawach.

Ją cały czas dręczył niepokój o dzieci, choć je zostawiła pod dobrą opieką. Zośka bawiła Adasia i Kazia, a starsze były z p. Cesią i nową nauczycielką.

Wyjechali też wcześniej z miasta, pędzą, tak jej niepokój rósł w drodze. Już są blisko, już z dala widny ogród. Czemu taki inny, jakieś kłęby dymu nad nim. Prędejj, o, prędejj. Nim dojechali, widny już był pożar dworu, słychać krzyki, bicie dzwonów.

Gdzie dzieci? — pierwsze, niespokojne pytanie.

Przybiegły z p. Cesią. Wszystkie zdrowe, całe.

Ojciec ratuje resztki. Już tak niewiele zostało. Najcenniejsze książki i obrazy ocaliła p. Cesia.

Przenieśli się do oficyn. Przestali być ludźmi bogatymi.

Wilno.

Minęło już cudowne dzieciństwo i walka z życiem zaczęta. Z życiem ciężkim, nieubłagany. Mieszkają teraz w małym, miejskim domu, przy ulicy Bakszcie. Ciasno, skromnie, inaczej.

Daleko, daleko radość tych dni. Daleko, daleko poezja przyrody. Z okien widać takie same domy, jak ich, nie park i las i Merę. Wozy jadą po bruku. Tłuką się po kamieniach. Za to rozmaitość miasta. Starego, pełnego pamiątek Wilna.

Co dzień widzą coś nowego. Takie śliczne kościoły, których dzwony wieczorem grają. Zobaczą dom Mickiewicza, uniwersytet, skąd wyszli filareci.

Widoki zmieniają się, widać nowe rzeczy oko chwytą. Złote kopuły cerkwi odbijają się od polskich kościołów. Tyle ludzi. Jakie bogate sklepy. Świat inny, inny zupełnie, niż tam. Nie mają swoich koni, ani służby tyle. Matka się wcale nie smuci, że zubożeli. Mówi, że to najmniejsza rzecz. Najgorsze to, że pójda do szkoły. Nie do takiej, jak filareci. Szkoła, to straszna rzecz, bo rosyjska. W tym zawarte wszystko.

A czy my musimy iść?

Musicie, rady na to nie ma. Musicie przejść jak przez ogień, który hartuje. Kto się nie da spalić, tego zahartuje. Wytrzyma próbę.

Uczyli się rosyjskiego, by zdać. Broniś i Ziuk chodzą razem. Ziuk do pierwszej. Dziewczynki nie musiały.

Dobrze dziewczynkom, że nie muszą. Ale za to, gdy co ważnego, to one się nie liczą.

Matka czekała z niepokojem niepojętym pierwszego powrotu ze szkoły. Wyglądała przez okno — patrzyła w oczy.

Nie mówili długo. Ujął ją wielki lęk — tu szło przecież o wszystko.

Jakże wam się podobało w szkole?

Milczą.

Broniś starszy, niech powie.

To była uroczystość na wstępie. Była dla starszych, ale nam także kazali iść. Przyjechał jeden pan z orderami z Petersburga, któremu mówili Ekscelencjo. On mówił długo, długo, a inni bardzo go chwalili i powtarzali wciąż, jak ekscelencja raczył powiedzieć. Sala była ubrana drzewkami. Były olbrzymie kwiaty w wazonikach i wstążki. Na ścianach portret cara i jeszcze jakiejś pani.

Jakiej pani?

Pewnie jego żona — w bardzo wyciętej sukni i z koroną na głowie.

Katarzyna. Ta, co Polskę rozebrała.

A cóż ten pan mówił do was?

My jeszcze tyle nie rozumiemy po rosyjsku. Jabym wszystkiego nie umiał powtórzyć, było trudne.

Chciałabym bardzo wiedzieć.

Chyba, który ze starszej klasy wie, bo my to nie.

Ani ja, ani Ziuk.

Zaproście którego z 6 klasy, żeby mi opowiedział.

A potem, co było?

A potem śpiewali po rosyjsku.

Rozumieliście?

Niektóre słowa. Potem rozdawali książki.

Co w nich? — pokażcie.

Rzuciliśmy je prędko do Wilejki. Byliśmy źli za te śpiewy i za to gadanie.

Choć nie rozumieliście?

Było głupie — bardzo głupie. Sens wiemy.

Sens był bardzo głupi.

Na drugi dzień znów to czekanie niepokoju pełne. Sieją im ziarno złe. Jeszcze nie mogło wejść moje, a już tamto zasiane. Rola musi przyjąć wszystko, choćby nie chciała, choćby najlepsza matka broniła. Muszę patrzeć na to. Wszystko, wszystko niczem wobec tego.

Znów to patrzeć w oczy badawcze. Czemu oni mówić nie chcą?

Jakże tam było dzisiaj? Dzisiaj niech Ziuk opowie.

Odkuwaliliśmy gramatykę rosyjską. I znaki, tyle znaków. Ale ja myślałem o czym innym. Tych znaków, to się nauczę sam prędko.

A u was Bronisiu?

U nas to pisali na tablicy ród Romanowych, a myśmy się uczyli na pamięć. Rysowaliśmy pień, a z niego wychodzą gałęzie. Żeby to można nie chodzić do szkoły!

Na drugi dzień opowiadał Broniś, że się uczyli kolekcji rosyjskich. Wszystkie linie trzeba było spamiętać. Mógłbym już być konduktorem.

A potem znów, jakie zwierzęta żyły w Rosji. Musimy pamiętać kolory każdego piórka.

A nawet nie wiem czy tak jest, bo pan był pijany.

Skąd wiesz, że pijany?

Pachniał tak, jak karczma na Bakszcie.

Tylko raz wrócili weseli ze szkoły.

Opowiedzcie, opowiedzcie prędko.

Ziuk jest rozpromieniony.

Była wojna, pobiliśmy na głowę Moskali. Zawsze ich pobijemy.

Lepiej ich nie drażnijcie w zabawie, żeby się potem na prawdę udało.

Jak się wprawimy teraz, to się potem także uda.

I codzień podobna historia.

Nudy w szkole, wesołość, gdy biją Moskali.

Czasami się zdarzyło, że partia Polskę reprezentująca przegrała. Wtedy mieli miny złe.

Poznała matka przyczynę niezadowolenia.

Wreszcie przyszedł Kalinowski, uczeń 6 klasy. Opowiedział, co było w przemówieniu. Ten rozumiał wszystko, ten umiał wszystko powtórzyć, nawet prawie dosłownie, bo miał znakomitą pamięć.

Więc najpierw było powitanie i powinszowanie. Powitanie przez ekscelencję z Petersburga Wilna, tego rdzennie rosyjskiego miasta.

Istinnie ruskoje — powtarzał. A powinszowanie nam, że spotkał nas zaszczyt chodzenia do takiej szkoły, z której wyrośniemy na podporę państwa.

Poznacie rosyjską kulturę, kulturę całego narodu, nie szlachty tylko, jak polska. Ona wam da okno na świat. To okno na świat było na każdym kroku. Że to oni niby mają bogatą literaturę we wszystkich działach, że wszystko tłumaczą z obcych języków, więc przez dobrą znajomość rosyjskiego, poznamy najlepsze rzeczy. I zachęcał, byśmy się pilnie uczyli rosyjskiego. Bo *ex oriente lux* — mówił. Tak stoi w księgach świętych.

Ex oriente, to znaczy od nich.

Gdy to poznacie, to sami gardzić zaczniecie polską nędzą, która garstkę podnosi, a masy całego ludu trzyma w niewoli. Oczy wam się otworzą na wielkie zagadnienia, bo my wyprzemy zgniły zachód i stworzymy nową cywilizację.

O tem to mówił długo, bardzo głośno.

Kalinowski umiał udać z odpowiednią deklamacją patos mowcy. Niektóre zdania nawet mówił po rosyjsku, by lepiej naśladować i tłumaczyć. Udawał aktora, który występuje na scenie i popisuje się. (Kalinowski zrobił potem karierę w teatrze).

Podniósł rękę prawą, a lewą położył na sercu.

Tylko bez mrzonek młodzi, bo mrzonki gubią najlepszych. (*Pas des reveries* — jeszcze dodawał od siebie). To, co było, już się odstać nie może i trzeba się pogodzić z rzeczywistością, Praca otworzy wam drogę na świat szeroki. Zdobędziecie wszystko razem z nami. Bogactwa, zaszczyty, uznanie. Macie więc do wyboru, albo dać się buntować głupcom i cierpieć niepotrzebnie, albo w spokoju iść do świetnej kariery. Karjera uśmiecha się do was. (Tu zrobił minę taką, jak się karjera śmieje).

Wam pierwszym łatwo będzie ją zdobyć. Jesteście pionierami. Nie pozwólcie się ubiec. Wkrótce już miejsca zabraknie dla chętnych.

I tutaj parsknął śmiechem po całym patosie. Miejsca zabraknie dla innych. Takie tam będzie przepełnienie, że sobie będą ręce i nogi łamać, oczy wybijać i zęby.

To nie jest takie wesołe.

E, — znowu nie jest takie smutne. My szkoły nie bierzemy na serjo.

Dobrze — pomyślała — dobrze, że szkoły nie biorą na serjo. Cień smutku upadł na twarz.

A potem znów:

Przyjdą takie czasy, że ich dzieci chodzić będą do polskiej szkoły. Ale ja nie zobaczę tego. Za to, co tutaj przeszli, należy się ich dzieciom.

Zadumała się i myślała malowała tę szkołę.

Ktoś mądry, jak babcia Elżbieta będzie im czytał te skarby. Wszystkim, wszystkim dzieciom. I będzie serc podniesienie. Anioł polski przemówi z tych ksiąg, które są teraz wyklęte. Przemówi i mścił się nie będzie, a jeno im pokaże przyszlą wielkość.

„O, gdybyś wiedział, jak ona
Przed narodami wystrzeli,
Jaką ogromną koronę
Włoży, jakie berło chwyci!

Chociaż wódz obywateli,
Co są w rodach znakomici,
Nie śmiałyś przed tą maleńką
Ruszyć ni szablą, ni ręką...
I stałyś tam u podwoi,
Jak żebrak przed królem stoi“.

Błogosławione usta, które to czytać będą, wiedząc, co czynią. Kochające, matczyne ręce będą wiodły te dzieci szczęśliwe do jutra. Będzie tak, jak chciała Elżbieta. Z własnej przeszłości, z polskiego ducha budowa. A dzieci będą, jak ukochane roślinki, które ogrodnik chroni od wiatru i wystawia na słońce. Zresztą muszą rósć same. Żadna nie może prędzej, niż starczą siły. Ona tylko uprawia rolę. Nie więcej, tylko rolę uprawia. Ale, że je kocha...

Rozplakała się cicho do tego obrazu duszy, a oni nie wiedzieli, dlaczego.

Bo wam tak źle, a zresztą nie wam, tylko im, którym dom nie dał nic i którzy wleczą w te sidła.

Wtedy się odezwał najmłodszy i powiedział krótko:
Nie wleczę.

Nie wleczę. Wy ich musicie wyratować i ja z wami, ja także będę z wami.

Szukają, szukają sposobu.

Sposób już dawno znany, tu w tem mieście. Tu przecież żył on, którego dom oglądali i celę więzienną. Będzie coś jak u filaretów.

Tylko, że teraz o wiele trudniej.

Będziecie się zbierać tutaj. Tutaj się zbierać będziecie w ostatnim, ciemnym pokoju.

W tej szafie są skarby, o jakich wam się nie śniło.
Do ratowania duszy nad przepaścią.

Do przygotowania duszy na inny dzień.

Widzicie, to będzie wojna z Moskalami. Musicie zwyciężyć tam, jak w zabawie. Ale to sto razy trudniejsze.

Gdzie oni sięją, tam my musimy wyrywać. Gdzie oni wyrywają, tam my musimy siać.

Wiedziała, że będzie to najpierw robić sama, ale tak, jakby od nich szło wszystko.

Najważniejsze, aby mówili o szkole, bo wtedy można odpowiadać. A to była rzecz najtrudniejsza wydobyć od nich prawdę. Wracali ze szkoły, jak od czegoś, co się chce prędko zapomnieć, a nigdy nie wspominać. Myśl młoda ulatuje lotnie. Zapomina.

A ona im musiała psuć zapomnienie.

Więc się bronili nawet przed nią.

Codzień, jak śniadanie i obiad, formułki, reguły, prawidła. (Może nie ta jedna szkoła była specjalnością w tym kierunku). Aby uczynić umysł jak najwięcej podatny na przyjęcie swej prawdy. Aby go zamęczyć tak podaną dawką, którą się wmusza do wnętrza, iżby dziecko nie mogło myśleć samo.

I już na przyszłość nawet. Tylko tak, jak on chce. Tym samym sposobem, tą samą drogą.

Wszystko dla duszy obce, dalekie.

Budzi się, wstaje własna dusza młoda.

Gniecie ją kościstą ręką i krzyczy, krzyczy swoje, głos szorstki, chrapliwy.

Ona by chciała słuchać jeszcze poszumu lasu w Zulo-wie, ona by chciała jeszcze słuchać tego cudnego grania pieśni. — Nauczyłaby się z niej mądrości prawdziwej i tyle, tyle, o świecie. A tutaj pijaczy głos: Twardy i miękki znak. Miękki na tej literze, a na tamtej twarde uderzenie.

Tak, — to tak.

Ale zdolne dziecko ma zawsze tysiące sposobów, by się nie dać. Instynkt ukryty, samozachowawczy mówi, jak się wywinać. Całą energię zużywa w tym kierunku, jak umknąć, by go nie okiełzano. Niezdolny poddaje się i staje się przykładowym, potulnym cielęciem. Które w życiu

pójdzie utartą drogą na jarmark, gdzie się zdobywa karierę. Kto da więcej, temu służyć będzie.

Obaj chłopcy nie dali się.

Wszystko, co rozum wymyśleć zdoła na ocalenie, to razem kombinowali. Pióro opisać, język opowiedzieć nie zdoła ogromu imaginacji dziecka i różnych, przez nią odkrytych sposobów, gdy się chce ratować. Ma to tylko jedną i jedyną ujemną stronę. Nie można iść prostą drogą.

I to była największa tragedia.

Nie zdradzali się z tych sposobów nawet przed matką.

Poza tą jedyną tragedją były same dobre strony z tego uciekania od belfra.

Nie słuchali, więc mimo uszu zbiegały im nieraz słowa kłamliwe, któremi chciano omotać ich dusze. Nieraz z wielkimi pozorami prawdy, nieraz z liczbami i statystyką. Nie odkuwali na pamięć żadnej rzeczy, którąby byli zapomnieli do drugiego ranka, a gdy trzeba było coś naprawdę zrozumieć, chwila uwagi i wysiłku pomogła zdolnemu. Potem inni czerpali od niego. Uczyli się więcej z książek, niż z lekcji, czytali przed ławą całe stosy. Ława była pakowna i cierpliwa. Pomoc wzajemna była tak zorganizowana, że nagle wyrwany, zawsze znalazł kogoś, kto go objaśnił o temacie. Zresztą częścią duszy sam czuwał. Wytworzył się w nich krytycyzm przedwczesny, ale rozwijający. Byli dziećmi dojrzalszymi, niż inne. Można z niemi było mówić, jak z dorosłymi. Wyrobiła się solidarność koleżeńska, o jakiej późniejsze czasy nie miały pojęcia. Samoobrona pomogła też do tego, że ich nie przemęczono. Zachowali swoją indywidualność. Nikt nie był w stanie ich ugiąć. Na średnią notę zawsze w krytycznej chwili umieli odpowiedzieć. Uczyli się sami lepiej, niż to mogła zrobić szkoła.

Pani Marja odgadła całą prawdę o szkole, choć jej nie wszystko opowiadali. Cierpiała niezmiernie. Dręczyły ją myśli złe, przesmutne. Przecież to takie młode drze-

weczka, zły wiatr musi połamać wiele, wiele, choćby się najbardziej uchylały. Nawet na najsilniejszych z nich zostanie ślad tego, co słyszą. I to zetknięcie się z duszą szataną. Taką, która sobie za cel wzięła zniszczyć w nich słońce, zabić to, co przynieśli z Polski, powoli podmywać brzegi, któremi płynęła ich młodość. Było na nich tyle kwiatów i zieleni, zostaną kamienie i piach. A przytem dają im pozory prawdy. Dają wiedzę. Wiedza ma siłę przyciągania. Dawna Polska zawiniła tak wiele. Jakże to łatwo, jak łatwo powiedzieć. Wszystko, co było — nawet nie potrzeba bardzo kłamać, tylko dobierać i oświecać swoim sposobem. Wszak, co było wielkie, deptano w ojczyźnie. Wywlec to przed oczy i nic nie powiedzieć. To była największa troska jej życia. Wyrwała na twarzy bolesny ślad. Na bujnych włosach posrebrzyła nici. Podkopywała wątłe zdrowie.

Wiem, że nie moje, ale te dzieci nędzarzy, albo nędzarzy ducha, albo biedy...

Nie dam ich. To moja rola na ziemi.

Ile mi sił zostało, wszystko, wszystko dla tego.

Czuła słabnące siły. Przecież w rodzie jej byli ludzie, co z raną na piersi zwyciężali. To jest bitwa, o jakiej im się nie śniło. Ważniejsza stokroć i trudniejsza. Nie miecze się będą spotykać, nie dłonie, a dusze.

I musi zwyciężyć nasza dusza.

Pukanie do drzwi.

Pierwsze tajne zebranie w ich domu.

Przyszli koledzy Bronisia i Ziuka, przyszli także starsi z klas wyższych. Tacy, o których wiedzieli, że nie zdradzą. I tacy, co nie mieli domu. Dali słowo honoru.

Otworzyła książkę, jedną z tych, które ocalały przy pożarze. (Książek ocalało najwięcej). Była maleńka i już

stara, oprawę miała safianową i brzegi złote. Z biblioteki najdroższej Babuni.

„Pielgrzymie polski! Byłeś bogaty, a oto cierpisz ubóstwo i nędzę, abyś poznał, co jest ubóstwo i nędza, a gdy wrócisz do kraju, abyś rzekł: Ubodzy i nędzarze współdziedzicami moimi są. Pielgrzymie, stanowiąłeś prawa i miałeś prawo do korony, a oto na cudzej ziemi wyjęty jesteś z pod opieki prawa, abyś poznał bezprawie, a gdy wrócisz do kraju, abyś rzekł: Cudzoziemcy razem ze mną współprawodawcami są. Pielgrzymie, byłeś uczony. Oto nauki, któreś ceniał, stały ci się nieużyteczne, a te, któreś lekceważył, cenisz teraz, abyś poznał, co jest nauka świata tego, a gdy wrócisz do kraju, abyś rzekł: Prostaczkowie współuczniami memi są“.

Przerwała. Malować zaczęła powrót do kraju.

To będzie wtedy, gdy wywalczycie wolną ojczyznę. Wy ją musicie wywalczyć. Będziecie wtedy w niej żyli inaczej, niż ci, przez których zginęła. Ach, jakże mądrze on to wszystko powiedział! O trzech tylko mówił rzeczach, a ujął w nich wszystko. Pierwsze i najważniejsze, że nie będzie nikt poniżony. Polska lepsza nie chciała nigdy poniżenia maluczkiego człowieka. Poznacie ją sami, tę lepszą Polskę. Tu w tej bibliotece jest wszystko. Będę wam dawać do czytania, abyście zrozumieli, że nie wszystko było w niej miłością siebie. On się odwołał do tego, co było na dnie. Bo, gdyby tego nie było wcale, to by szukać i wierzyć w jutro daremnie.

A druga mądrość o prawie. Powstańcy za nią przelali krew. Walczyli o wolność naszą i waszą. Aby się nie powtórzyło w wolnej Polsce to, czego zaznali sami.

A trzecia prawda o tej mądrości, to jest najtrudniejsza. Ja to rozumiem tak. Że on nie chciał rozumu z samej książki, bo wiedział, że jest inny, większy od niego. A może go mieć nawet człowiek nieuczony, a może go nie mieć ten, co słynie z nauki. Bo potem mówi tak:

„A mądrzy między wami nie są ci, którzy wzbogacili się, sprzedając naukę swą i nakupili sobie dużo dóbr i domów i zyskali od królów złoto i łaski. Ale ci, którzy opowiadali wam słowo wolność i cierpieli więzienia i bicia. A ci, którzy najwięcej ucierpieli, szanowani są, a ci, którzy śmiercią zapieczętowali naukę swą, święci są“.

Bo widzicie, jeśli kto zdobył prawdę, to ją musi wyznawać czynem. Dopiero taki prawdę ma. Bo ten, który o prawdzie mówi tylko ładnie, nie ma jej wcale a wcale. Stroi się tylko w cudze pióra, które wcale nie odpowiadają jego wyglądowni.

Słuchali w takiej ciszy, że zda się słyszeć można było głos z ukochanego niegdyś dworu w Zułowie.

Sama mówiła, nikt jej nie przerywał.

Był już wieczór. Zima, śnieg na ulicach, na stole lampa maleńka, a oni słuchają, jak niegdyś bajek kochanych, tych przypowieści cudownych pielgrzyma, które ona swoim sposobem tłumaczy. „Boże Jagiellonów! Boże Sobieskich! Boże ludu! Zlituj się nad nami. Pozwól nam modlić się znowu do Ciebie obyczajem przodków na polu bitwy, z bronią w ręku, przed ołtarzem, zrobionym z bębnow i dział, pod baldachimem...“

Nagle, gwałtowne kołatanie. Drgnęło w lęku serce matczyne.

Otworzyć natychmiast, rewizja.

Drżącymi rękoma chowa drogą książeczkę.

Błada jest i taka słaba.

Żandarm wszedł do pokoju.

Wy tu czytali zakazane książki.

Myśmy czytali modlitwę.

Wy tu zbieracie młodych na tajne narady.

Uczą się z memi dziećmi.

Nagle opuszcza ją wszystek lęk i bladość twarzy. Staje przed nim dumna i pewna siebie.

Przecież tego, co dała, nikt już nie odbierze. Żaden, żaden uzurpator.

Jest w głębi duszy. Padło na dno. Rośnie. Dałam im odpowiedź na tamtą naukę w szkole. Na tamte wątpliwości. To już wyrwane być nie może.

Stoi wyprostowana, dumna. Drzwi pokazuje carskiemu słudze.

Niech pan dzieciom moim nie przeszkadza w pracy. Wyrwał jej drogą książeczkę.

Ale Babcia Elżbieta ocaliła ją z za grobu.

Książeczka była saffjanowa, brzegi miała złocone, na niej złotymi literami wydrukowane:

Modlitwa pielgrzyma.

No, no. To wy się naprawdę modlili, a ja myślał, że to jakie spiski!

Ochłonęli wszyscy, gdy odszedł, ale ją opuściły siły. Z oburzenia mówić nie mogła. Najmłodszy z całej tej gromadki najwięcej odczuwa matczyn ból. Bo ona najukochańsza, najlepsza lękać się ma, jak czegoś złego, że im czytała.

Odezwała się w nim duma tych, co zawsze zwyciężali. W jego obecności bać się musiała matka żandarma. To już ostatni raz. Ostatni i nigdy więcej. Nigdy, przenigdy.

W oczach miał wyraz zły.

Czemu tak patrzysz, Ziuku?

Nie jej odpowiedział, a kolegom.

Myśmy stali bezradnie.

Ale najstarszy Oleś, który chodził już do 6 klasy, ujął go zimno za rękę.

Przecież pani nie potrzebowała nawet kłamać, tak, jak my w szkole i zwyciężyła. Powiedziała temu durniowi samą prawdę, tylko, że jej nie umiał zrozumieć.

Widzisz Ziuku, — patrzyła na niego prosząco.

Nie można zaczynać za wcześnie.

Niech kłosa wpierw w polu dojrzeją, to je ścinać będziecie wtedy.

Lecz tylko on, lecz tylko on jeden zrozumiał wtedy, co przez to powiedzieć chciała.

Jeszcze nie rozeszli się koledzy do domów, kiedy się znowu ozwało pukanie. Takie inne, takie radosne. Czułe ucho rozróżnić w niem mogło kogoś, kto się bardzo spieszył, kto wracał z dalekiej drogi.

Szedł z takiej dalekiej drogi, a nikt go nie poznał w tym domu. Tak dawno nie widział nikogo z nich, a dzieci nie widział nigdy. Tylko wiedział, że są i jak się nazywają. Zawsze marzył o tem, że ich kiedyś zobaczy. A że już był bardzo stary i mógł umrzeć, nie poznawszy swych wnuków, (nazywał ich wnukami, choć nie był rodzonym dziadkiem), więc się wybrał aż z Francji i przyszedł przed samą wigilją. Wszak jutro będzie wigilja.

Każde z dzieci całował z namaszczeniem, każdemu coś innego powiedział.

Gdy mu opowiedzieli o żandarmie, śmiał się. Śmiał się tylko.

A to zabawna historia z tymi durniami, powtarzał. Gdyby to pan Mickiewicz mógł usłyszeć, to by się był uśmieł serdecznie.

Dlaczego dziadzio mówi pan Mickiewicz?

Bo go tak nazywali w Paryżu, nawet czasem pozwolił sobie mówić panie Adamie, a mnie stale mówił panie Tomaszu, jako, że mu przypominam imieniem Zana, którego bardzo kochał.

To dziadek znał Mickiewicza?

A jakże, a jakże, — przecież żyliśmy tam wszyscy, jak w jednej rodzinie.

Tylko niepotrzebnie przejęliście się tak tym durniem, co wyszedł. Możecie się nawet bali mi potem otworzyć. A tu wszystko trzeba brać na wesoło.

Widzicie, najmańdrzejszy to taki, co wszystko bierze na wesoło.

Pan Adam.

Tak samo pruszył śnieg i cicho było, jak wtedy w Zułowie. Tylko brakło szumiącego boru, tylko brakło precudnego parku i tego dworku cichego, w którym żyły ślady dawnych lat. Tam każdy kącik był pamiątką, tam strzep każdy nosił coś z dawności swoich bliskich. Taki ciąg, taki duchowy ciąg dotykał swem tchnieniem przedmiotów. A tutaj wszystko niczyje — nie nasze. Dziś ten, jutro tamten przychodzić zajmie ściany szare.

Więc się wspomnieniem myśl wychylała do widoku z okien jadalnego pokoju, w nieskończoną dal, przez długą aleję od dworku rozświeconego. Więc się wspomnienie unosiło przez cały dzień do pokoju babuni, co stała kiedyś z nimi, z girlandą siwych włosów na głowie, w czarnej sukni i opowiadała o czemś, co było bardzo dawno. Wtedy było wszystkim tak dobrze. Gdy się zbliżały święta, myśl dzieci zajmowała radość niewypowiedziana, bez żadnej przyczyny, niezamącona niczem. A teraz już mają tyle swoich trosk i trosk o inne dzieci. Te w szkole, które nie mają takiej matki. Straszne, najwstrętniejsze ze wszystkich słów szkoła, truje wszelką radość młodych dni. Przechodzą lata. Tak szybko i tak cicho, że nie wie nikt, kiedy przeszły. Tylko zawsze uświadamia je wigilja. A jak to było zeszłego roku, a jak jeszcze innego, jeszcze innego. Dostają coraz poważniejsze podarunki, chłopcy same książki. Matka każdemu coś mówi przytem. To, co dawniej aniołek szeptał we śnie i co leży w głębi na dnie serduszka. Co dawniej było w bajce. Tej o panu Zawiszy i tym, co utonął dla honoru i potem tych, co śpia, a czekają, że ich ktoś zbudzi.

Dziś przed oczy stawia cudny sen. O tym właśnie, co przyjdzie budzić. Może już żyje nawet. Może już niedaleki to dzień. Bo wszystko gotowe w duszy, byle przyszedł czas, byle się odezwał on.

Święta to czas jej siejby. Rzuca im do duszy swoje ziarno, z którego wstaje cudny świat. Świat, co ma korzenie w Zułowskim dworze. Kędy żyli ci, co mieli duszę dostojną. Będzie koło nich drgał, będzie im śpiewał pieśni i szeptał stare cuda, gdy równocześnie życie ciężkie każe im słuchać tego, co wołają w szkole.

Przedwcześnie dojrzałe dzieci, które muszą same rozdzielać światy dwa, by się nie splątały, nie przeszły w siebie. Dusza przez to nabiera czujności, dusza przez to widzi lepiej, co było i przeczuwa, co będzie, ale już niema tej cudownej radości innych dzieci na całym Bożym świecie.

Dzisiaj jest wigilja bardziej uroczysta przez to, że mają wśród siebie gościa dalekiego. Dziadunio będzie jeszcze z nimi czas jakiś. Dla niego trzeba wymyślić podarunek szczególny. Bo już wszystko widział i wszystko miał. Cóż go ucieszy?

Ani nic do jedzenia, ani nic do ubrania, — ani książki nawet, bo już ich przeczytał tyle.

A przecież znaleźli jedną rzecz, taką, że dziaduś zapłakał. Dali mu pamiątkę z Zułowskiego dworu, który jeszcze znał z czasów młodości.

Przez aleję kalinową szedł raz ze swą narzeczoną. Było to po balu imieninowym na świętą Annę. Jeszcze jak dziś pamięta. Malarz jakiś, który przez lato mieszkał długo potem w Zułowie, namalował tę aleję i zostawił na pamiątkę. Była taka, jak wtedy za jego młodości. Ocalała razem z biblioteką i teraz dostała się jemu.

O jakże się staruszek rozrzewnił. Pierwszy raz nie może przyjąć śmiechem, jak wszystko wedle swojej zasady, lecz płacze. Bo widzicie, są w głębi duszy człowieka takie rzeczy, co się nazywają świętościami. Taką świętością pamięć o niej, którą straciłem na zawsze, nie długo po tym balu.

Nikt nie wiedział, że dotyka jego rany, a chcieli mu zrobić radość tym obrazem.

Ale największego wzruszenia doznał pan Tomasz przy wigilji. Gdy zobaczył siano okryte obrusem i rozświecone drzewko, to już się śmiać nie potrafił. Tylko mówił:

Tyle lat. Tyle lat przeszło od tego czasu, a wy tu szczęśliwi, co roku tak macie.

A potem te dwa miejsca próżne przy stole.

Dla stryja Jana i babuni Elżbiety.

Cicha nad nimi modlitwa.

Znał ich. Któżby na emigracji nie znał pani Elżbiety? A stryj Jan?

• Gdyby żył, ja wam powiadam, byłby dziś wybitnym człowiekiem. Najpodobniejszy do tego, na którego wołacie Ziuk.

Widzisz Józiu, będziesz porządnym człowiekiem. Mówi ci to stary człowiek, co wiele widział na świecie.

Podobałeś mi się w tej chwili, kiedyś się spytał o pana Adama. Dałbym głowę za to, żeś ty wymyślił ten obrazek.

Pani Marja potwierdziła, że pierwszy wpadł na ten pomysł, bo mówił, że dziadunia nie ucieszy nic z ubrania, ani jedzenia, nawet książki.

A widzisz, ty będziesz zawsze umiał trafić w sedno rzeczy. To grunt chłopcze — a to grunt. I zawsze bierz wszystko na wesoło. Tylko, gdy co sięga samego dna serca, to nie. Ale takich rzeczy niewiele.

Cóż ci dam za ten pomysł wnuku Józefie, czy jak cię tam nazwali, Ziuku? Dam ci wszystko, co powiesz.

Czekają wszyscy, co powie. A on bez chwili namysłu: Dziadzio nam za to opowie o panu Adamie.

Jak Boga kocham, udał mi się ten wnuk.

Ziuk. — Nawet do rymu, na wesoło.

Opowiem wam o panu Adamie.

Był taki sam, jak każdy z nas. Miał nos, oczy, usta, twarz. Tylko te oczy patrzyły trochę inaczej. Była w nich, widzicie, cała Polska. A z ust jego, gdy je otworzył, płynął

jak to nazywali starożytni, złoty miód, a ja bym powiedział, że to nie złoty miód, ale ogień, co pali dusze.

Jak nam zaczął malować owe litewskie lasy, a drzewa w tamtych sadach, a dworki — taki, jak wasz w Zułowie, niby jego kochanym Soplicowie, to nam starym trzęsły się dłonie z rozrzewnienia i nie potrafiliśmy już o niczem innem myśleć, jak o Niej, niby o Polsce. — Czem ją zdobędziemy, a kiedy, a kto? Czy mieczem, czy pieniądzem, czy pracą?

Każdy co innego dodawał, ale wszyscy szliśmy za jego komendą, że się o niej tylko mówiło. I wierzyło się, że musi być, bo to widzicie, on powiedział.

A jak on powiedział, to każdy — widzicie — byłby życie dał, że musi być.

Trzeba się było spojrzeć na jego twarz, gdy to mówił. Jak papier zbladł, tylko mu oczy błyszczały. Błyszczały, jak miecze stalowe.

I ten dumny nad niemi włos.

Twarz miała coś z orła, gdy leci. Gdy leci do samego nieba.

Cóż ja wam będę dużo mówił, żołnierz stary? Chciał tego wszystkiego wnuk Ziuk. Niechże ma.

Ja już nie umiem więcej.

Widzicie, on żyje tu... Tu, gdzie się chowa świętości. Razem z tym waszym obrazkiem, razem z tą waszą wilją. Ta wasza wilja, to balsam na moją duszę stęsknioną. Chciałbym raz jeszcze przed śmiercią, raz jeszcze to wszystko zobaczyć. Bo widzicie, człowiek to takie dziecko, co musi dotknąć wszystkiego.

A przecież on nie widział, a umiał żyć, jakby w ojczyźnie, a my wszyscy mali musimy dotknąć rękami. I ustami ucałować ziemię. Widzicie, nawet król Odysseusz ziemię rodzinną całował, gdy wracał z długiej wędrówki.

I śpiewał z nimi kolendy. Ojciec zaczynał.

Dawno niesłyszane, zapomniane.

Wracały do duszy z dziecięcych lat. Wracały do duszy melodją prostaczą.

W żłobie leży.

Takie dzieciątko na sianie i wół i osioł i pastuszkowie. Starzy i młodzi razem. Panowie i służba razem. Jak za dawnych, prastarych czasów w Polsce.

On był tam, gdzie źródło cywilizacji, a nigdy mu tak serce nie biło...

Potem jeszcze pani Marja czytała z książeczki.

Czytała słowa babci Elżbiety.

„A to jest największa tajemnica, że przyszedł na ziemię Pan. Tajemnicy tej pojąć nie można rozumem, a tylko dojść może do serca. Dojdzie nawet do maluczkich, którzy dusze otwarli na światło przez prawdę sumienia swego. Oni to dobrze wiedzą, że przyjsie Pana na ziemię oznacza panowanie miłości, panowanie nowego porządku, w którym człowiek będzie człowiekowi bratem. A nie ma rzeczy piękniejszej, ani radośniejszej dla duszy.

Z padołu nędzy i poniżenia, jakim jest ziemia nasza, stanie się kiedyś rajem kwitnącym i woniejąca kwiatami. Które nie zwiędną nigdy. Gdy zstąpił na ziemię Pan, wyzwolił w człowieku anioła i kazał mu walczyć ze złem do końca. Dopóki nie będzie pokonane i przezwyciężone na wieki“.

Dziadunio Tomasz jest cały w słuch zamieniony. Twarz ma zadumy pełną i szczęśliwości. Nie chce płakać przy wnukach, a lży powstrzymać tak trudno. Tak się niepotrzebnie kręca, wywołane radością.

Więc wszędzie, — tu i tam, na obczyźnie i w domu są Polacy, co idą walczyć o lepszy świat.

To są pielgrzymi do ziemi świętej.

A ziemia święta rozszerzyła się na cały świat.

Ten nowy, przemieniony.

I tu i tam idą.

Z takim namaszczeniem, z taką pewnością.

Semper fidelis, jak przed wiekami.

I zaczął starym, wzruszonym głosem śpiewać kolendę „Bóg się rodzi“.

Wtórowali mu wszyscy donośnie.

O wigiljo niezapomniana, ostatnia.

Nigdy już nie miał pan Tomasz takiej drugiej w swoim życiu. O wigiljo, która się będziesz przypominać po latach tułaczom...

Lekcja historii.

Pan Tomasz został jeszcze z wnukami przez całe święta, a potem pojechał na wieś do innych krewnych. Bliższych jeszcze, ale nie tak już kochanych. Bo nie mieli tyle dzieci, a on kochał te rodziny, które mają dużo dzieci. Ci się przydadzą wolnej Polsce — tak mawiał ze śmiechem. A choć ze śmiechem, bardzo szczerze.

Przez cały czas świąt rozpytywał o szkołę.

Musieli mu opowiadać wszystko. Widział, że się krępują wobec matki, by jej nie martwić, więc ich egzaminował wtedy, gdy była zajęta. I swoich wnuków i tamtych, co przychodzili na czytania. Polubił bardzo Olesia, najstarszego z gromadki. Był to chłopak bardzo wrażliwy i przeczulony. Nazywał się Horbaczewski, z rodziny zasłużonej w powstaniu, dobrze w domu przygotowany, nim poszedł do szkoły.

Ale oni przyprowadzili sobie na te czytania także jednego żydka Horowitza i to się dziadkowi nie podobało. Próżno mu tłumaczyli, że Max bardzo Polskę kocha, że w ten sposób okazując mu serce i mówiąc prawdę o Polsce, przywiązują go do siebie i do swojego narodu.

Powtarzał wciąż tylko jedno:

A ja bym się bał, że was zdradzi.

Był wśród nich jeszcze jeden czarnooki, zawsze za-

myślony, marzyciel, który dziadkowi bardzo przypadł do serca. To taki, jak nasi Towiańczycy — mówił. Ten wam jeszcze kiedy stworzy nową naukę. A jeden z nich, Szulkiwicz, był najlepszym matematykiem w klasie. Za wszystkich robił zadania i podpowiadał. Zawsze wiedział, o czym mowa i ratował swoich z kółka. Nie pomagał nigdy Moskałom, ani tym, co do których nie miał żadnej nadziei, że się kiedyś przydadzą.

Miał żylkę organizatorską i znał się na ludziach przez wrodzony instynkt. On im ręczył za Maxa i dlatego Max został przyjęty. Chodził do 4 klasy.

A w czymże wy celujecie — pytał dziadek.

Broniś — mówili koledzy — najmocniejszy w geografii, wciąż czyta książki o podróżach, o odkryciach, rysuje mapy. Ziuk to jeszcze w szkole nie, ale on i tak będzie wiedział dużo.

Cóż ci się podoba chłopcze najwięcej, gdy czytasz w szkole pod ławą?

Pod ławą w szkole, to czytam książki historyczne, te z biblioteki ojca.

I nie boisz się, że cię kiedy złapią?

Złapać, to się nie pozwolę. Ale tam widzi dziadzio są argumenty.

Jakie argumenty?

A bo to nie tylko historia Polski, tam jest i o Rosji wiele. A jeśli kiedy przy mnie powiedzą to, co przy nich, to ja im pokażę ich własne książki.

A to ty czytasz książki rosyjskie?

A czytam, bo chcę wiedzieć wszystko.

Wszystkiego synku, (tak mówił, gdy mu się ktoś bardzo podobał), nigdy się nie dowiesz. Wszystkiego nawet nie wiedział on, sam pan Adam. Ale podobasz mi się. Dalibóg, że mi się bardzo udałeś. Niby mnie, bo jestem twoim dziadkiem, ale jeszcze więcej, to swojej mamie.

Jaką wy macie mamę chłopcy! Takiej wam może Polska cała zazdrościć.

My to wiemy.

No, łaska Boska, że wiecie, bo chłopaki takie młode, jak wy, to prawie nigdy nie rozumieją. Dopiero potem, gdy są takie grzyby, jak ja, to im na wspomnienie matki łzy ciurkiem z oczu płyną.

A kiedy była, to jej robili różne psoty.

A wy psot nie robicie?

Gdzie tam — robimy.

No takie małe, to musi być, tylko pamiętajcie, żebyście jej zawsze słuchali. Ona ma więcej rozumu, niż wy wszyscy razem, ilu was tu jest, choć który chodzi nawet i do szóstej klasy.

Ale musicie mi opowiedzieć taką lekcję historii w wyższej klasie — jak to wygląda.

Czytamy pamiętniki — czasem rosyjskie, czasem polskie, nieraz francuskie.

Przynosi nam pan Łaska.

Łaska, to niby ten pan belfer?

Nazywamy go tak, bo jest bardzo chudy. Ma takie głupie, maślane oczy, czerwone z czytania, a może i nie z czytania.

Hm — to tak wszystko na wielkich koturnach. Czyta im pamiętniki.

Cytaty i cytaty, a to jest w tym wszystkim najgorsze.

Co jest w tym wszystkim najgorsze?

Że są specjalnie dobierane. Kto się na tym nie zna, to myśli, że wszystko płynie z obiektywnej prawdy.

Hm, hm — jak się to już wyraża z obiektywnej prawdy. A to płynie tylko z wyższego nakazu.

Ale ci mali to sobie z tego nie zdają sprawy.

Więc my ich musimy oświecać.

Cóż wam na przykład powiedział takiego?

Braliśmy wiek 18. Najprzód nam przeczytał opis Polski

z pamiętnika jakiegoś Francuza, co wtedy tu jeździł. Opowiadał, jak chłopci w Polsce mieszkali. Nie były to domy, a nory. Zdawało mu się, że to jaskiniowcy wychodzą ze swych siedlisk. Byli opuchnięci z głodu. Był rok nieurodzaju. Na przednówku żywili się korzonkami z lasu i przemarzniętymi kartoflami. Chodziły po nich owady, których nie umiał nazwać. Po drodze złamał się temu panu parę razy most pod powozem i potłukła cała karetą. A potem nam pan Laska czytał pamiętniki o święconym u Radziwiłła. Mówił, że to było w tym samym roku, kiedy była klęska nieurodzaju. Czytał nawet ustępy po polsku. Ile było pokoi zapełnionych święconym. Tyle wołów pieczonych — ile pór roku. Tyle świń bitych — ile tygodni, a sznurów kielbasy, ile z Nieświeża do Wilna — a bułek pieczonych, ile godzin miesiąc liczy. A potem mówił: Trzęsły się szlachcie brzuchy i chorowali i dodał: To było równocześnie — równocześnie to było panowie.

Aleście tego nie powtarzali matce?

Nie.

To dobrze, to dobrze robicie. Bo ona i tak wszystko czuje.

Ona jest chora. Trzeba ją chronić, widzicie.

No to oni sobie sprytnie to wszystko obmyślili.

Ale i tak śmiech z tego.

Śmiech z tego mówi pan?

A bo wam niedługo taki oto Ziuk wyszuka, jak to było w Rosji w owym czasie.

Namaluje wam liczby i całe tablice, ilu w ich ojczyźnie ludzi z głodu wymarło.

Nie ludzi, a wsi. Nie wsi a powiatów. A potem wam pokaże takiego pana, jakiego sam widziałem w Paryżu, co tłukł najcenniejsze lustra, gdy był pijany i zaraz płacił złotem. A potem takiego, co papierosa zapalał od drugiego stu rublami. Czy który choć przez jedną trzeźwą sekundę pomyślał o chłopach? A potem wam namaluje takich,

jakich się tysiące przewija w słonecznych krajach, co mają pałace marmurowe, a w środku kapie złoto. I może jeszcze w której książce wyczyta, skąd to złoto płynie.

Słuchajcie. Jedne Ziuki wasze to robią, a inne robią jeszcze co innego. Coś o wiele większego, czego myśmy nie mogli. Aby już wasze dzieci nie musiały chodzić do takiej szkoły. Widzicie, to jest sęk. A z wszystkiego innego śmiech.

Powiadam wam śmiech i nie więcej.

Bo to czego innego nie warte.

No a ciekawym, co wam przy tym 18 wieku mówili o zdrajcach. Tych, co to ojczyznę im samym sprzedali za pieniądze.

Najprzód nam przeczytał charakterystykę Polaków przez Murawiewa — mówiąc, że ten znał najlepiej nas — jacy są i byli.

„Wszyscy Polacy są zuchowaci dopóty, dopóki postępować z nimi miękko i łagodnie, ale przy najmniejszej surowości, poniżają się do podłości. Widzę codziennie tego przykłady“.

A potem popierał to przykładami.

Bo widzicie panowie. (Znów użył słowa panowie). Nie było wtedy prawie w Polsce człowieka, który by nie był oddał ojczyzny za duże pieniądze. Pieniądzy trzeba było dużo, ale się u nas znalazły. Są księgi, radzę wam do nich zaglądać, tam wszystko zapisane — ile pieniędzy Rosję kosztował ten kraj. Jednym płacili dukatami, a innym ziemią, albo urzędem. Nie było żadnego gwałtu, wszystko oddali sami. Król podpisał i senatorzy i posły, przedstawiciele narodu. Jeden tylko jakiś Rejtan, to potem zwariował. Bo się ten naród nigdy nie umiał odwodzić buntownikom. Swoi go ukatrupią, jeśli obcy oszczędzili. Chcecie dowodów? Wszakże Walerego Łukasiewskiego nie Moskale skazali sądem, a Polacy. A potem, gdy nawet

robili powstanie, to go nikt nie odbił z więzienia. Oni umieją dopiero po śmierci.

Wszakże zawsze tych, co powstawali, nazywała druga część mordercami ojczyzny i zdrajcami. Te czasy, to ja sam jeszcze pamiętam z ostatniego buntu.

Więc ci, co się buntują, są głupi. Marny ich los. Chyba człowiek rozumu pozbawiony, widząc taki los, nie cofnie się z drogi. A takiego, co umiał dorobić się na swoich, to się z początku wyrzekają, mówią zdrajca, a potem dzieci jego już zażywają poważania, są bogaci i każdy ubiega się o ich łaskę. Bo dobrze powiedział nasz wielkorządca Murawiew, że to jest naród, który poniżać się umie, tylko się nie chce ugiąć pod swoimi. Przed obcym zawsze, jak wam to będę miał jeszcze sposobność pokazać przy innych wypadkach.

Widzi pan, to było mniej więcej tak. Pamięć mam dobrą, więc powtórzyłem prawie dosłownie.

Pan Tomasz słuchał uważnie, a potem nagle zrobił taką uwagę.

Wiecie, co ja wam przepowiadam, że ten wasz Laska nie długo już u was zabawi. Zrobi mu któryś z was jaką dobrą awanturę, wyrzuci go, ale zabiorą sobie i tego pana Laskę. Bo on swojemu rządowi nie bardzo dobrze robi. Żeby mniej filozofował, toby może co zrobił, ale on zupełnie nie zna polskiej natury. Z Polakiem można wszystko, ale mu nie wolno stąpić nogą na duszę. Widzicie on stąpił na duszę brutalną stopą. W tem, co powiedział, było dużo prawdy i to jest najsmutniejsze, ale zabrał się dosyć niezręcznie. Brał ich naturę za waszą.

No, ale nie wszyscy chyba tak filozofują, a czyście się czego nauczyli w szkole? Bo to grunt widzicie, to grunt.

O tamto ja się tak nie boję. Śmiech z ich głupoty i tyle.

Czy się wiele nauczymy? Ano tyle, co sami. Bo książki, to mamy. Ale cóż nam powie taki Welocyped?

(Nazwali go tak, bo pierwszy przywiózł rower do Wilna). Myśli o tym, żeby prędko zadzwonili. A jeszcze może gorszy pan Piła, co jak zacznie dręczyć regułkami, to się ziewa od ucha do ucha, jak po balu.

Mówili jeszcze o Chochole i o Zezowatym. Dziadek domyślał się, dlaczego ich tak nazywali — i nie pytał.

Ten Chochół, to jakiś dymisjonowany pan z prowincji, tu dany za karę. Nie umie nic. A ten Zezowaty, to jest wielki pies.

Psem nazywamy szpicla. Na jego lekcji nie da się czytać pod ławą, bo widzi na wszystkie strony. Ma krzywe oko i widzi na prawo i na lewo. Patrzy tylko, coby znaleźć, coby wykryć, bo nie innego nie umie.

A Chochół, to nas zaprosił do siebie.

I byli tacy, co poszli? Cóż było na tej wizycie?

Z nas żaden. Z nasby nie szedł żaden, a tamci podobno z nim pili braterstwo. Mogą się już nie uczyć, a mają zapewnione piątki. Ale my się nauczymy sami. Wie dziadek, że to nawet dobrze (mówi Broniś), bo my nie tracimy czasu na szkołę, tylko się uczymy pod ławą. Prędzej to idzie i lepiej.

Niech dziadzio będzie pewny, że nie zmarnujemy czasu. Boimy się jak ognia przesiedzieć w której klasie. Więc nawet i rosyjskiego uczymy się sami nieźle. Będziemy się zresztą śmiali, jak dziadunio mówił.

A widzisz, toś już pochwycił moje przysłowie.

To było dziadzia przysłowie?

No tak, więc prawda szczerza.

Chciałbym was tak zobaczyć za parę lat, ale już nie zobaczę.

Chciałbym was tak zobaczyć, gdy już będziecie ludźmi, ale już tym więcej nie zobaczę.

Chciałbym tak zobaczyć, gdy już będziecie wolni. Ale wtedy już chyba tylko duchem. A będę z wami.

Jeśli duchom wolno, to będę z wami.

Ale wtedy musicie pójść na mój grób, jak tu jesteście i powiedzieć mi o tym śmiechu. Ha to wam wtedy będzie dobrze. Ha, gdziebyście wtedy o starym pamiętali.

Już miał odejść, ale go coś kusiło, by jeszcze posłyszeć o szkole — szczególnie o tej historii.

Powiedzcie mi jeszcze coś z filozofii pana Laski.

Więc mówił Kalinowski, najstarszy uczeń.

W Polsce kpili sobie z prawa. Było ono tylko dla biednych ludzi — w tym szlacheckim kraju. Raz był taki król, co śmiał pana skazać na banicję za walkę z prawem, ale skończył niedługo potem. Nawet to, co uchwalił sejm, nie obchodziło nikogo. Przecież skazali Ponińskiego na banicję za to, że trzymał z nami. A on co? Wydaje ucztę pod samą Warszawą. I na tej uczcie najważniejsze rody. Żeby to choć bylejaka szlachta, nie byłoby tak dziwno, ale najmożliwsze rody były tam. Chcecie wiedzieć które, zaglądajcie w te księgi, bo waszemu księdzu Kalince wstyd pisać o nich.

A widzicie, to może i dobrze, że wam tyle prawdy powiedział. Gdyby to mówił swój, tobyście nie dali wiary. A tak — choć nawet strach pomyśleć, ale prawda. To była prawda. Mówcie, mówcie — niechże się i stary czegoś nauczy w tej szkole. Dobra nauka, mówię wam. Za taką płacić warto złotem. Ale wy musicie płacić drożej, niż złotem.

A raz mówił tak.

Bo wasze marzenia o Polsce to są bardzo głupie. Przecież w nią nie wierzył nikt z poważnych ludzi u was. Nikt a nikt. Tylko sami krzykacze, a smarkacze. A tamci to jedni za Rosją, a drudzy za Niemcami. I o to się tylko kłócili, za kim. Ci racje swoje, a ci swoje. Ten lepszy, nie, ten lepszy. Ten słabszy, nie ten słabszy. Lepiej z mocniejszym czy lepiej ze słabszym. Wszystkie wielkie rody tak i wszystkie rozумы tak, a za nimi szlachty huk. A tylko jaki taki młokos to mówił, że chce Polski, samej Polski.

Tak jakby było co z takiego chcenia, gdy w nią nie wierzycie sami.

A widzicie, tu go mam — to jest filozof prawdziwy. Tylko on czego innego chciał. Ale dla nas to dobrze, że to powiedział, bo będziecie do gruntu rozumieli polskie głupstwo. To samo było jeszcze tam na emigracji. On nie zelgał tym razem, nie. Tylko za mało cenił tych młokosów. Takich samych może, jak wy.

Ano jeszcze trochę tej mądrości.

Raz nam czytał uwagi Stackelberga, jak czem kogo brać. Jednych pieniędzmi wprost, a innych darami — tylko muszą być różnej natury. Czasem bardzo skomplikowanej, a czasem to można i kadzidłami i okazywaniem poufałości jak pana Szczęsnego Potockiego. To nic nie kosztuje, a daleko sprawę posunie. Proszę, proszę, odkrywa wam karty.

Jaki głupi, głupi człek. A może tylko taki dobry człek. Może to zamaskowany przyjaciel. A kiedy zobaczą, że przyjaciel, zabiorą go.

A nam się zdaje, że nie, tylko, że bardzo kochał swoją ojczyznę. Powoływał się na wielką kulturę Rosji i na to, że do nich należy przyszłość, że oni nas lepiej poprowadzą, niżbyśmy umieli sami.

A na dowód tego przytaczał świadectwa samych Polaków. Raz czytał nam list Szczęsnego Potockiego do Brannickiego. Zapamiętałem sobie, bo mam zapisane. Takie rzeczy, to się notuje.

„Nic nie czynilem i nic czynić nie będę, zawsze w nadziei, że głęboka mądrość Imperatorowej przewidzi, co czynić trzeba będzie, nie dopuści zginąć naszemu narodowi, który z ufnością wzywa ratunku i który los swój w jej prawie ręce oddaje“.

I do tego dodał swoje komentarze.

Nie mówcie mi już komentarzy. Wiem to, wiem. Słuchać wstyd. Mnie staremu włosy stają na głowie, gdy słyszę.

Boli mię każdy siwy włos. A tak. To była okropna rzecz. I nie wiem, czy podłość większa, czy głupstwo.

No, a co by było, gdyby matka wasza nie wam nie powiedziała o tym, co było wielkiego w tej Polsce.

Nie mogę, nie mogę już słyszeć więcej. Za stary jestem człowiek. A myśmy z panem Adamem tak cudnie marzyli. Ale tamtym łotrom postawił wasz Laska pomniki, jakich nikt nie zbudował największym w narodzie.

Wy ich już będziecie pamiętali. Tak, że aż tu — tu na dnie pogardy.

Wstał prędko, bo trząśnięcie się cały.

Kroki jego były chwiejne. Bał się, że im powie za wiele. Pokaże więcej gniewu, niż chciał wobec młodych.

Żółkiewski.

Zebrali się znów razem na czytanie. Przyszło ich jeszcze więcej, bo zaraz nowych wciągali do swojej gromadki. Nie zawsze czytania odbywały się w ich domu, ale te były najprzyjemniejsze. Opromieniała je matka.

Dzisiaj pani Maria wyciągnęła z biblioteki stary rękopis jakiegoś dawnego przodka i czytała im głośno. Oni tymczasem od owego ostatniego czytania podrośli na ciełe i duszy — podrośli przez przeżycia. A od wieczorów w Zułowie dzieliła ich przepaść.

Matka była ta sama — tylko coraz słabsza. Czuła, że się wszystko szybko zmienia, że to już nie owe pisklęta, których chroniła matka — odlatują od niej — odlatują. Niedługo odlecą zupełnie. Świat ich jej odbierze, ludzie dobrzy i źli i obojętni. Nie pomieszczą się pod jej skrzydłami. Przerosną ją — pofruną daleko. Już się to staje. Już im nie może odpowiedzieć na wszystkie wątpliwości, jak wtedy. Niedługo już te najmniejsze Lidka i Jaś będą prosiły o bajki. Czy je wychowa? Czy zobaczy jak ją prze-

rosną? Hela już jest panienką — odejdzie z domu. Jak się to wszystko zmieniło od owych cudownych czasów w Zułowie, gdy siedzieli przy kominku. Słuchają inaczej, niż wtedy. Wtedy ich dziecinne oczy patrzyły w nią jak na świętych obrazkach aniołki — takie zaciekawione, płonące. Otwierały się przed nimi nowe światy, niby rajskie ogrody, które otaczają duszę odurzającą wonią. A teraz! Teraz rozum zaczął swoje słowo. Pyta się — rozkłada, wątpi. Czuje to już po ich twarzach. Gdy usta otworzy, jakież ją czeka pytanie? Czy jej nie przerośnie wiedza? Bo oni już słyszeli tyle. Pada głos dźwięczny, pogodny, bardzo kochany.

„Tom miał od swego stryja śp. Jana, a on od ojca własnego Stanisława, który to od dziadka swego pamiętał słowo w słowo. Ten zaś naocznym świadkiem będąc niektórych z opisanych rzeczy, inne od takich wiedział, co wszystko oczyma swymi widzieli i jemu podali. Takowe dziwne zdarzenia trzeba, aby dla pamięci ludzkiej zapisane były, synom ku budowaniu, wnukom, aby podziwiali, dalekim zasię wiekom, aby miłość ku owym żywili, co żywotów swych za nic nie mając, ojczyźnie je chętnie na ofiarę rzucali, aby zbudować narodowi wielkość, a Najwyższemu na ziemi naszej chwałę. A nic im z tego samym nie było, jeno śmierć i smutek najbliższych i rodu wielkiego koniec, a co pradiadowie trudem i orężem zdobyli, oni wszystkiego odeszli bez żalu dla miłej ojczyzny swojej i dla przemożnej siły człowieka, która u niektórych ludzi miarę przerasta żywota, a mijając rzeczy ziemskie w wieczności sobie upodobała i dla niej wszelkie marności tego świata poświęcić gotowa“.

Dziwi ich język stary.

To głos przeszłości dalekiej. Może ten pradiad wasz marzył kiedyś o tym, jak go dalecy, dalecy potomkowie słuchać kiedyś będą, a nie nadaremnie. Może myślał, pisząc tę książkę, że sieje ziarno, a podlewa je krwią

hetmanową. Bo to o tym, o którym wam nieraz mówiłam. Tylko nie wiedział, że przyjdą czasy sto razy gorsze jeszcze, niż te, na które patrzył Hetman. Słuchajmy.

„Wszystko na zamku oczekuje Hetmana — tego, który był panem wielkich włości i mnogiego ludu, a poszedł ze synem jedynym bronić zagrożonej ojczyzny, która go w utrapieniu wielkim wołała, jako, że synów wyrodných mając, którzy bić się o nią i głowy nadstawiać nie chcieli, od innych zaś prawych dzieci wymagała więcej, niż dać byli w stanie.

Oczekiwała hetmanowa żona Regina, sama jedna w domu z garsteczką domowników, bo kto tylko mógł, z panem na bój wyruszył. Oczekiwały go bogate komnaty, kobiercami kryte i przodków portrety na ścianach i szable świetne, zwycięstwa pamiętające same w sieni zamkowej. Wychodziła pani co dnia na wieżę patrzeć się, czy nie wraca z wyprawy. Aż razu pewnego zobaczyła gońca, co szedł, głowę zwiesiwszy. Stał przed nią i ust nie śmiał otworzyć z bólu. A ona pojęła wszystko i nie pytała.

I przyrządzono dom na godne przyjęcie hetmanowych kości. Bowiem tu leżeć musiały w Żółkwi, skąd tyle razy wychodził na wojnę zwycięską.

Jechał na wozie purpurą obitym na znak, że nie umarł, a zginął na polu i dla przykładu innym to uczynić polecił. Pochylały się nad jego ciałem stare, parkowe drzewa, trzy wiekowe lipy i starsze od nich dęby, a było wszystko złote w ogrodzie, bo jesień właśnie schodziła pogodna. I było wszystko ciche a zamyślane, jakby tę ofiarę świętą cała ziemia uczyć chciała. Patrzyło się na hetmanowe kości złote słońce i zdawało się mówić: Świecę dziś Tobie na chwałę, a wszyscy, co byli przy tym, nawet głośno płakać nie śmieli, tak wielka dostojność i taka powaga szła od hetmanowego ciała, że jeno każdemu lzy leciały ciche po twarzy i zaś wszyscy czuli, że z tym człowiekiem schodzi do grobu to, co było najpiękniejszego i czi najgodniejszego w ojczyźnie.

A w parę lat potem nieśli do tego samego grobu syna hetmanowego Jana. Tego, któremu ojciec taki cudowny zostawił testament, myśląc, że go dla życia zostawi ojczyźnie miłej. A onże z ran odniesionych wtedy na polu bitwy, prędko za nim żywot swój młody położył. A był taki smutek, gdy jego, ostatniego po mieczu do grobu kładziono, jakby przeczuwali wszyscy te czasy, co potem przyjść miały na tę ziemię, opuszczoną od Boga i że z tej dawnej świetności rodu nie zostanie nic, jeno pamiątką, że była.

Ale pomsta została w tych, co krew hetmanową w żyłach mieli.

Córki Stanisława Żółkiewskiego syn, na pamiątkę wielkiego dziadka Stanisławem zwan, od ojca swego Daniłowicz, pan na Żółkwi takimże jak Hetman umarł sposobem, pomszczenia za obu na Turkach szukając. I tak nieszczęsny los chciał, że każdy, który zamek na Żółkwi dziedziczył, głowę swą z tym samym wrogiem kładł, że nie było tam przez lata całe innych uroczystości krom pogrzebowych, bo po Stanisławie Daniłowiczu zginął jeszcze Marek Sobieski po kądzieli prawnuk hetmanowy, najstarszy i najukochańszy syn królewskiej matki. Aż kres tym śmierciom położył jeden, który jeszcze oręż polski na świat cały rozslawił, a który za wszystkie one wielkie wojowniki miecz nieprzyjacielski na kawałki pokruszył — tak, że nigdy już więcej krzyżowi świętemu uragać nie mógł i skurczony w swych posiadłościach do Azji, skąd przyszedł, cofać się był zmuszony. A z owym królem mścicielem ojciec mój był na wyprawie, przed wyprawą na grób hetmanowy wstąpił, aby od niego siły zaczerpnąć do walki i do pomsty sprawiedliwej zapalić duszę, której kto nie pamięta, wyrzeka się wielkich przodków swoich i odrzucenia od nich godnym się staje. Bowiem ze słabości, nie siły płynie jego cierpliwość, której Bóg nie policzy za zasługę, a kości znieważone, pomsty od ludzi nie mając, do Boga wołać będą i oskarżać niegodne pokolenie“.

Chwilę przerwała i czeka, a w uszach dźwięczy jej pytanie. Pytanie najstarszego z grona.

Czy warto było, aby ginęli najlepsi za tę rzecz? Bo przecież naród cały nie szedł z nimi. Chcieli robić więcej, niż naród i za to padli, a po nich zostali ci, co nie szli — ci i ich potomkowie. Aż doczekali się takich, co Polskę oddali. Więc, gdyby nie był zginął Hetman i jego syn, toby potomkowie ich zarządzili Polską i nie byłibyśmy teraz niewolnikami. Szli walczyć o wielkość narodu, a naród nie miał w sobie już zadatków na wielkość, więc dla niego nie było warto.

Nateża myśli, co odpowiedzieć. Te wątpliwości nie żyły w niej, ale chciała, aby nie żyły i w nich. Z największym niepokojem patrzyła na Ziuka, chciała wyczytać z jego twarzy, po czyjej stanął stronie, ale z niej nic wyczytać nie dało się. Więc odpowiedziała.

Widzicie, hetman dobrze rozmyślał ten czyn i nieopatrznie nie szedł na pole bitwy ostatnie. Ale wtedy nie można było inaczej, on to zrozumiał w duszy swojej, że nie można. Bo kto wielkość nosi w swej duszy, musi za tę wielkość oddać wszystko aż do żywota, a kto uwierzył w wielkość narodu, wie, że choćby zginął, i on, i tacy jak on, to przyjdą inni.

A wtedy nieoczekiwanie zerwał się Ziuk i zawołał.

Ale to nie jest cała prawda. Hetman zginął, bo już nie mógł znieść urągania. Gdy był młody, znosił i szedł, a teraz ostatnie lata oddał, bo mu już było za wiele.

Skąd ty to wiesz, synu?

A on poszedł szybko do biblioteki ojca i wyciągnął z niej książkę zieloną, nieoprawną, grubą.

Pisma Stanisława Żółkiewskiego wydane niedawno, dwa lata przed powstaniem i zaczął czytać.

Słuchajcie, to mówi Hetman wobec sejmu.

„Już to 44 lat służby odbyłem tej Rzplitej naszej na harcach i utarczkach, szturmach krew swoją rozlewając.

A przecież ja zły, podług powieści mojej dźwigający na ramionach moich bezpieczeństwo Rzplitej, a drudzy lepsi, którzy ją o niebezpieczeństwo przywodzą“.

A potem pokazał miejsce inne.

A to pisane do króla przed samą śmiercią.

„Dawnom tego szukał, nie nad wolę swoją rad żywot położyć dla wiary św., dla służby W. Król. Mei, dla Rzplitej, nie chcąc być superstes — choć tu od niej za wiele prac, az trudy, odwagi, miasto wdzięczności, wielkiem ponosił opprobria, żale“.

Albo to czytacie, jak mówi, że idzie na Boży sąd — albo ostatni list z Cecory.

Długo może człowiek znosić obelgi za to, co czyni najlepszego, ale się w końcu miara przebierze i ustępuje. Chcieliście, aby do wszystkiego dodał jeszcze honor, a tego nie robi żaden człowiek. Ja z tej przemądrej książki wiem, jaka jest prawda o śmierci Hetmana, ja wiem, że nie zginął tylko z ręki Turka. Nie powiedział ten staruszek wszystkiego. Ładnie mówił, jak nasi poeci, ale zobaczył tylko jedną stronę.

Nie mówił on i ja nie mówiłam wszystkiego, bo poco otwierać rany? I nieotwarte dość bolą. Więc zasłońcie oczy na to, co mówił hetman zboląły. I on i wszyscy, co szli za najświętszą sprawę i co jeszcze za nią pójdą. Mieli takie chwile, że im żal było drogi, gdy się patrzyli na ludzi szarych, co na nich rzucali kamieniem. Widzisz synu, rzucają kamieniem, bo nie pojęli, co czynią.

Ale oni przejdą jak zwykły, szary proch, a tacy jak Hetman są wieczni. Widzisz, są wieczni. Dla wieczności warto popatrzeć z uśmiechem na tamtych. A żeby ten uśmiech nie był bolesny i smutny — tylko taki pogodny i cichy, o jakim mi raz babka mówiła, że go widziała raz jeden na twarzy człowieka, który rozmawiał z Bogiem przed chwilą.

Ale podniosły się głosy protestów młodych, którzy się buntować zaczęli.

Nie chcemy, nie chcemy więcej cierpieć.

Nie — nie ustąpimy więcej szaremu człowiekowi — niech on ustąpi przed naszą siłą. Nie zawsze musi panować on. Dosyć już tego.

Nie dziwiła się, wszak dopiero wchodzili w życie.

Nie znali go jeszcze wcale. A potem przez chwilę weszła do jej duszy nadzieja. A może oni zobaczą co innego? Może oni przemienią ziemię. I Uśmiechnęła się do swojej myśli, jakby to był kwiat śliczny, który do jutra uwiednie.

Tylko, gdy on siedział sam jeden nad książką — weszła cicho i popatrzyła mu w oczy.

Słuchaj, a gdybyś ty kiedyś oddał wszystko dla sprawy, a oni cię potępili, czy będziesz żałował ofiary?

To nie jest ofiarą, gdy kto idzie dalej, niż drudzy z własnej woli, bo dalej widzi. Mówisz jak owi poeci — kiedyś to było wielkie słowo.

Słowo minęło synu, ale sens został ten sam.

Wszystko jedno, wszystko jedno, jak się to będzie nazywać. Zostanie zawsze ten, który ma rację i ci, co go nie pojęli, a że ich jest dużo, ach jak dużo, więc pragną go przygnieść.

Zostanie zawsze szalona polska pycha, która znieść nie może, by się kto wyżej wznosił, choćby to było dla nich samych dobrze.

A właśnie, a właśnie, że się zmienić musi.

Nie żądaj za wiele na jeden czas. Jeden czas nie może zrobić wszystkiego. Przychodzi kolej na rzeczy. Przyjdzie więc dzień walki, która już będzie ostatnią. Tak mówili, co byli najwięksi w narodzie. Ale ta druga trwać może wieki jeszcze. Aby się odrodziła dusza. Nie przyspieszy jej żaden człowiek, a ktoby chciał czas przewrócić, dozna sam goryczy zawodu.

Milczenie, milczenie nieprzerwane.

Synu ty się nie ugniesz przed urąganiem.

Nic nie odpowiada.

Zniesiesz to, co boli więcej, niż wróg.

W głosie jej drgał niepokój, śmiertelna troska w źrenicy. To będzie, to będzie okropne.

Odpowiedź nieoczekiwana, która przejmuję dreszczem.

Po karkach im przejdę nogą.

W oczach jej trwoga, podziw i pytanie.

Przecież ty jeszcze nie możesz rozumieć tego. Prawda. Jesteś dzieckiem prawie. Mówiłam o tym za wcześniej. Ale to widzisz dlatego, abyś pamiętał potem, gdy wszystko się stanie, a ja na ciebie nie będę mogła spojrzeć wtedy, ani cię prosić, ani położyć ręki na głowie skolatanej. Abyś więc wiedział o tym, na ten czas.

Dlaczego wtedy nie będziesz mogła?

A widzisz, że jeszcze jesteś dziecko. Na takie trudne pytania odpowiadasz, a sam dziecinne zadajesz. Jesteśmy wędrowcami na świecie. Dziadek tu był i nie ma go i nie ci więcej nie powie i ta mądra babunia odeszła!

Ale mama jest jeszcze młoda.

Widzisz nie czuję już sił. Miałam ich wpierw wiele — wystarczy już na niedługi czas.

Sam będziesz szedł potem synu. Ale cię jeszcze zawołam na samotne czytanie z owej cudownej książki babuni. A to jest najważniejsze ze wszystkiego.

Taki go smutek nagły ogarnął i takie bolesne myśli, że nie zapytał nawet, co jest najważniejsze ze wszystkiego.

Zebranie.

Pewnego razu przyszli na zebranie, a matka przywitała się tylko z kolegami i poleciła samym czytać, bo czuła się chora. Zresztą wiedziała, że już muszą iść sami, że już wybiegli daleko. Zauważyła tylko, że nie ma wśród nich Kalinowskiego.

Wylany ze szkoły — zameldowano krótko.

Za co takiego?

To długa historia. Za hardą odpowiedź na lekcji. Tak jak przepowiadał nieboszczyk dziadzio. Ale i tego Laski też już nie ma. On nam to mówił wtedy, tak się wszystko stało.

Nie ma i pana Laski to dobrze.

Nie tak to znów dobrze, bo teraz mamy gorszego. Tamten to choć mówił coś o polskiej historii złe rzeczy, ale zawsze mówił, a ten to nic a nic — tak, jakby nas wcale nigdy nie było, tylko samą historię Rosji. O jej wielkim, światowym znaczeniu, o jej roli wobec zachodu, o jej świeżości kultury, potem zagadnienia socjalne.

Jakież to znów zagadnienia socjalne?

On mówi, że Rosja przeprowadzi nowy ustrój — w świecie. Czyta nam czasem wyjątki z różnych Słowianofilów.

Nowe rzeczy, nie znam tego wcale, ale powiedzcie mi, za co wyrzucono Kalinowskiego i to tak niedługo przed maturą — miał przecież zdawać w tym roku.

A bo nie wytrzymał, choć go wszyscy upominaliśmy, by nie zaczynał. Trzeba było nie słuchać. Tyle głupstw już nagadali, że mogli jeszcze trochę. Ale on tego wcale nie żałuje. Mówi, że nie da się wykoleić. I tak sobie zdobędzie wiedzę.

Zaczęli mówić jeden przez drugiego, aby się który nie wygadał i by się nie dowiedziała wszystkiego.

No a przeciw czemu protestował?

Laska czytał znów jakieś pamiętniki. Laski i tak już nie ma. Bali się, że nas nie zrusyfikuje jak potem sły-
szałem i dali innego. Podobno mówili, że takie rzeczy prowadzą do buntu.

Ale mnie idzie o Kalinowskiego, nie o Laskę.

On pojedzie za granicę, będzie mu lepiej.

No, ale co takiego powiedział?

To był pamiętnik jakiegoś klasztoru — o jakichś zakonnicach.

Wstyd było mówić takie rzeczy.

On wstał i powiedział: Nieprawda.

Nie dowiedziała się więcej niczego.

Jakali się, przebąkiwali coś, mówili, że zapomnieli — zresztą to w jego klasie.

Potem uczyli się lekcji, ale to nie trwało długo, bo prędko wszystko zrobili.

Oleś im przyniósł nowinę wesołą o powrocie swego wuja z Syberii. Po tylu latach wrócił, a są tacy, co nigdy nie wrócą. Opowiada nam takie ciekawe rzeczy. Codzień co innego. Przeszedł całą Syberię i przejechał. Najprzód go pędzono etapem, a potem coraz mu było lżej. Pomogło mu wykształcenie i to, że wiele rzeczy umiał robić. Dorobił się nawet tyle, że za swoje pieniądze wrócił. Mówi, że gdyby tam chciał żyć, toby wcale był bogaty, ale nie chciał ani jednego dnia więcej.

Wiecie, że to ciekawy kraj z tego, co mówi. Jabym nie był od tego, żeby tak wszystko zobaczyć. A co ludzi różnych napotkał. Byli tam i tacy, co już osiedli na stałe z tamtego jeszcze powstania i wcześniej. Jeden, kiedy do niego przyszli do domu, to nic nie mówił, tylko usiadł do fortepianu i grał im poloneza Ogińskiego. I nic — ani jednego słowa. A do drugiego Polaka doktora wstąpili, ale już zapomnieli, że był Polakiem i przyjął ich jak obcych, obojętnie, zimno, że się prędko od niego wynieśli. Zdziwaczeli, zdziwaczeli tam nieraz ludzie. Jeden odludek, którego wuj często odwiedzał, nigdy nie chciał przyjść do niego. Aż raz niespodziewanie przyszedł. Wymówił tylko parę słów, jakby zapomnieli mowy, ale nie zapomnieli, tylko nie śmiał. A potem ozwały się dzwony wieczorne na Anioł Pański. Bo i u nich też dzwonią wieczorem. On wtedy wstał, zapłakał w głos i wyszedł. Widzicie — mówił wuj — w tym płakaniu odezwała się prze-

szłość w jego duszy. Która już była przysypana popiołem. Odezwała się od razu i umarła. Bo on potem nie chciał mówić do nikogo ze swoich.

Poznał tam jeszcze ks. Białkowskiego, co walczył w obu powstaniach. Ile razy był bity, w ilu szpitalach przeleżał z ran, tego opowiedzieć trudno. A nigdy nie żałował, że szedł. Tylko się stał zakamieniały i nie mówił nigdy o sobie.

Ułaskawili go wcześniej niż wuja.

Ale wiecie co? Niedługo będą wracać ci, co idą na koszt.

Będą szli przez Wilno do Warszawy.

Usłyszała to pani Maria z sąsiedniego pokoju, w którym leżała. Zerwała się z kanapy, wchodzi.

Słuchajcie. Wyjdziemy po nich wszyscy. Słuchajcie, przygotujemy im podarki. Oni będą wracać biedni, obdarci, głodni. Urządzimy zbiórkę.

Co kto ma. Oni dawali wszystko.

I wyszła z radosną nowiną do dziewcząt.

Wracają.

Przez kilka dni nie mówiono w domu o niczym, tylko o tym, że wygnańcy wracają. Nie zajmowano się zwykłymi sprawami, a każdy robił, co mógł dla nich. Szycie, kupowanie, chodzenie po domach. Najmłodsze dzieci musiały oddawać wszystkie słodczyce, starsze zaoszczędzone pieniądze, ubrania. Obiady były skromne, odkładano nawet chleb. Przykład gospodyni działał jak rozkaz kochanego wodza.

Najwięcej miały do roboty panienki, to też nie spoczywały przez te parę dni wcale. Obeszły wszystkie znajome domy z nowiną, zbierały, szyły, pakowały, ozdabiały.

A chłopcy przypatrywali się ich robocie z zadowoleniem

niem i nawet któryś z nich zażartował, że jak będzie wojna, to im powierzą aprowizację wojska. To dobrze bardzo zrobicie — powiedziała Zula, ale może my jeszcze uprzedzimy was, nim rozkaz padnie. Tak jak i teraz wszystko poszło od mamy, nie mężczyzn.

Bo to jest wasza robota.

Wtedy, gdy wy będziecie mieć lepszą, nie teraz.

My zawsze mamy ważniejsze rzeczy do roboty.

To róbże sobie te ważniejsze, a nam nie zabierajcie czasu.

A że w tej dyspucie słowa były poparte prawdą czynu, miały argument, który zamykał usta.

Wygnańcy mieli iść przez Wilno bardzo rano, gdyż rząd chciał uniknąć manifestacji. Był rozkaz, by ich nie zatrzymywać, ani nie mówić do nich — nikt nie miał wiedzieć, kiedy przyjdą.

Ale tu pokazała się prawdziwość przysłowia, że chcącemu nie trudnego.

O trzeciej rano już wszyscy wiedzieli, że są przy samym mieście i za kilkanaście minut ulice zapelniły się czekającymi. Nikt nie szedł z próżnymi rękoma.

Pani Maria w otoczeniu wszystkich dzieci, nawet Janek i Litka już szli i Zośka z nimi. Koledzy starszych synów ze swymi rodzicami lub sami. Umyślnie nie łączyli się na ulicy, by nie wzbudzać podejrzeń policji, która czuwała nad każdym krokiem każdego Polaka.

Matka szła ostatkiem sił — już od dłuższego czasu dręczyła ją ciężka choroba — dziś przemocą wstała i tyle tylko ustąpiła naleganiom, że ją przywieźli na miejsce. Stała z dziećmi naprzeciw Ostrej Bramy, do której już szły pierwsze szeregi. Słysząc kroki miarowe nóg słabych, zmęczonych. Które już szły tak daleko. Mającą się zdala blade twarze, niezdolne jeszcze do radości z powrotu. Takie na nich przybicie trudu, który wszystko zabija. Przytępienie na wrażenia z ojczyzny i że ich witają swoi.

Nagle z daleka padły pierwsze promienie słoneczne na kaplicę Ostrej Bramy, na wyższe okno, na którym Jej obraz święty.

Matka Boska cudami wsławiona. Ta, która zawsze wita wracających z północy — a oczy ma pełne zamyślenia. Zamyślenie nad dolą biedną człowieka.

Kroki wygnańców coraz wolniejsze, coraz słabsze. Kolana drżą w dziwnym lęku. Usta otwierają się same. Uklękli.

Pieśń słychać rozdzierającą skargą.

Serdeczna Matko,

Niech Cię płacz sierót do litości wzbudzi.

Głosy przytłumione, trwożliwe.

Aby ich nie rozpędzali biciem za ten śpiew.

Rozkaz policji: Do dworca. Nie wolno się zatrzymywać.

Więc im tylko wręczają dary — cicho, cichutko.

Z okien otwartych padły kwiaty.

Rzuciła je ręka dziecięca.

Podniósł stary, przedwcześnie siwy pan.

Podniósł i pocałował.

Nie wolno mówić ustami. Mówią oczy.

Oczom nie można zakazać. Powiedzą wiele więcej.

Wejdą na samo dno duszy, tam, gdzie żadne słowo nie sięgnie.

Wejdą i spokój zamącą.

Będą się pojawiały wieczorną godziną.

Jednemu wpadły do duszy niebieskie, łzami zalane oczy dziecka, które wracało bez ojca na grób samotny matki, do ojczyzny, a drugiemu oczy złamanego człowieka, który pełen złudzeń i wiary szedł przed laty do boju. Był wtedy młody i silny, dziś wraca kaleka i chory.

A trzeciemu bolesne, wylęknione źrenice matki. Tam zostawiła mogiłki dziecięce — tam w tej zimnej, okrutnej ziemi. Wraca z tym, dla którego poszła, ale się wszystko skończyło.

Widzieli także oczy niespokojne, tęskniące, pytania pełne, wyrwać się pragnące do swego domu. Dom opuściły tak dawno i nie wiedzą, kogo zastaną, bo nie było wieści od nikogo.

Widzieli oczy stalowe, nieugięte, zacięte w swej mocy przetrwania, których nie złamie ludzka ręka i oczy mądre, przemądre, co zobaczyły już tamtą stronę, aby o niej ludziom opowiadać.

Takie, co żłobiły twarz łzami, aż łez zabrakło i została żółta twarz przeorana i takie, co się śmiały, ze wszystkiego śmiały, aż zastygły śmiechem wiecznym, przez ludzi głupim nazwanym.

Te były najokropniejsze — te niech się nikomu nie zjawia w noc ciemną. Niech się nie zjawia winnemu, bo stanie się im podobny.

I jeszcze usta. Usta z zastygłą pieśnią. Szeptaly niedawno modlitwę. Modlitwa przerwana drga jeszcze. Jedne otwierają się jakby do krzyku o pomstę. Inne pogardą przekrzywiając bolesną. A tamte drżą.

Drżą sine, obolałe, zimne.

Rodacy nakryli płaszczem ramiona, rodacy podają słodycze.

Upadł czerwony kwiat z rąk młodej dziewczyny. Na usta gorzkie krople łez lecą. A tamte przy nim rozwarte z ciekawością oczy. Na widok ojczyzny, której nigdy nie widziały.

Urodzone tam na wygnaniu.

O jakie zdziwione spojrzenie przyjmuje ściskającą dłoń matki.

Matki innych dzieci, która umiała spojrzeć na niego jak własna.

Pani Maria wraca. Jest bardzo zmęczona. Siłą powstrzymuje łzy. Nie może wymówić słowa. Coś ją za piersi rwie, coś tłumi wyrazy, cisnące się na usta. Tylko patrzy, patrzy, patrzy. Na synów i córki, na starsze

i młodsze i na te oczy siłacze, jak je w duszy własnej nazwała.

Mówić nie może, a patrzy.

My się za wszystko pomścimy.

A nie widzicie. Bo pomsta jest mało — i pomsta to próżny trud. A wy musicie więcej.

O wiele więcej musicie.

Ostatnia bajka.

Było to zimowym wieczorem, pruszył śnieg i wiatr wiał po ulicach. Chłopcy nauczyli się wcześniej lekcji i mieli już iść do kolegów, gdy nagle przyszło Bronisiowi do głowy, że w takie wieczory w Zułowie opowiadała im matka bajki, które tak bardzo lubieli.

Takbym chciał usłyszeć jeszcze raz bajkę, jak wtedy, a był już dojrzałym chłopcem, który kończył gimnazjum.

Matka była bardzo zmęczona. Nie leżała wprawdzie, ale ledwie podnosiła się z krzesła, ale gdy jej powiedział, że chce usłyszeć bajkę tak, jak w Zułowie, uśmiechnęła się pogodnie i nie odgadli nawet z jej uśmiechu, ile smutku było w tej chorej twarzy.

Chcecie bajki. Dobrze, ale wiedźcie, że to, co było, nie wraca, a jeśli przeszłość chcemy przywołać, to nam się pokazuje zupełnie inna twarz. Wtedy było wam tak dobrze na świecie i byliście dziećmi jeszcze, więc nie bajki wam były mile, a świat cały, ale teraz, gdybym wam powiedziała taką bajkę, to byście się dziwili, że się wam podobala.

Niech nam mama powie bajkę dla starszych, takich dużych dzieci, jak my teraz.

Dobrze, powiem wam bajkę dla takich dużych dzieci, które już niedługo pójdą w daleki świat i będą tworzyć życie nowe. Siadźcie, jak wtedy, na kanapie pod piecem

i słuchajcie. Opowiem wam o swoich marzeniach wieczorem i o morzu. Choć morza nigdy nie widziałam, ale dziadzio o niem opowiadał tyle, że wszystko wiem. On był całe miesiące na morzu, gdy jechali do San Domingo.

Więc widzicie, moje najmilejsze marzenia, moja bajka własna, dla mnie samej, to jest myśleć, jak będzie Polska, a to nie jest takie dalekie i to jest taka bajka, która się stanie prawdą.

Gdy będzie wielka wojna — jak modlił się pan Adam, to wy będziecie się bić o nią. Tak sobie marzę wieczorem i widzę was, jak idziecie. Ani się pewnie nigdy nie domyślacie, że wtedy, gdy siedzę na swoim fotelu i oczy mam zamknięte i wszyscy myślą, że śpię, to ja wtedy marzę o tem.

Jesteście w polskim wojsku. I czuję już wasz trud przeogromny i widzę wasze męstwo. Bo to wiem, to dobrze wiem, że nie zaznacie trwogi. Boję się wtedy nawet w myślach samych o was, byście nie żartowali za bardzo z kul, bo one biją naprawdę. To wszystko, co mi dziadzio opowiadał o legjonach, te wszystkie nadzieje i rozczarowania stają mi wtedy w myśli i choć wierzę, że wy już zwyciężycie, to mnie serce drży o was tak, jakbym jeszcze miała to wszystko widzieć oczyma. I nie chcę myśleć długo o tem, tylko uśmiecham się prędko do ostatniej chwili zwycięstwa.

Jest już Polska. Tylko, gdy sobie to chcę wyobrazić, to mię taka radość ogarnia, że mi chce pęknąć serce. I zdaje mi się, żebym nie przeżyła tej chwili, gdybym miała ją zobaczyć, jak na królewski zamek wjeżdża polski król. A może wy nie króla mieć będziecie, bo teraz inne czasy. Ale to tak samo, więc będę mówić, że król.

Jedzie, jedzie wolno z namaszczeniem — przed całemi pułkami wojsk, a oni mu salutują. Taka cisza, jakby przed Bożym sądem, a potem głośny szloch.

Dzwonią wszystkie dzwony. Wszystkie dzwony w ca-

lej Polsce i ten, którego nie słyszałam, najstarszy, Zygmunt.

Myślą nawet nie mogę ogarnąć radości. Cóż dopiero, gdybym zobaczyła.

Ale wy może patrzeć na to będziecie, jak na zwykłą rzecz. Wszystko będzie wolno. Słyszycie, wszystko będzie wolno, za co teraz Sybir!

Nie o śpiew przecież idzie, nie o śpiew.

Ale w nim woła lepsza część duszy.

A tej lepszej części duszy wołać teraz nie wolno.

Widzicie, ona zawoła wtedy we śpiewie.

Nie śpiew to już będzie, mówię wam, ale jakiś pod niebo idący krzyk duszy. Podzięka samemu Bogu. I będzie wolno kochać Polskę, czego teraz bronią nam.

I nie będzie nikt chodził do takiej szkoły, jak wy.

Orły białe będą wszędzie, wszędzie, tam, gdzie teraz znak cara i cesarzowej.

I wszędzie polskie napisy i wszędzie słyhać naszą mowę i nie karzą nikogo za książki.

A czasem znów myślę, jak tu do Wilna wjeżdża polskie wojsko. Witam ich w duszy. Rzucam kwiaty pod stopy. Zdaje mi się, że całe morze ludzi krzyczy z radości: Niech żyją! A tu, gdzie była wasza stara szkoła, uczą po polsku. A tu, gdzie pan Adam chodził i filareci, mówią najmądrzejsi z naszych.

Ale, słyszycie, smutny jest koniec tej bajki, mojej bajki. Bo mię tak nauczyło życie i mówiła mi ta, co tyle wiedziała babcia Elżbieta. Mówiła mi, że wtedy, gdy Polska powstanie, rozleje się morze zła.

Więc teraz bajka o tem morzu.

Siłę ma niezmierzoną, potworną. Gdy zacznie wyrzucać bałwany, to podnoszą się z przepotężną siłą i rozrzucają wszystko, co jest. Nie ostoja się przed niemi ani ludzie, ani okręty olbrzymy, ani największe ludzkie prace. A tylko jedynie oprzeć się mogą skały nadbrzeżne.

Stoją nieporuszone i patrzą spokojnie na morskie bałwany.

Tak spokojnie, jakby nie uderzały o nie, a tylko o coś zupełnie innego, albo jakby ich nic nie bolało to uderzenie.

Wiedzie, gdy się to morze zła rozleje po Polsce, gdy się będzie zdawało, że już zaleje całą, to muszą stanąć takie skały, które odbijają fale.

Wszyscy, co ją kochają, co ją więcej kochają, niż siebie, muszą się oprzeć fali.

Ale widzicie. Jakże trudno być człowiekowi skałą, człowiekowi, co ma serce bijące i żywe.

Nie mogła mówić więcej. Wzruszenie wielkie i choro-
roba odebrały jej siły. Olbrzymim wysiłkiem woli trzymała się oburącz fotelu, aby nie widzieli, jak bardzo jest słaba i tylko patrzyła.

Patrzyła do głębi ich ocz swemi jasnymi oczyma. Oczy szare spotkały się z ciemnem spojrzeniem Ziuka.

Zrozumieli się dobrze w tej chwili.

O, jak dobrze się w tej chwili zrozumieli.

Pytania.

Nigdy już potem nie była na ich zebraniach, bo coraz było gorzej ze zdrowiem. Całą zimę musiała leżeć. Niknęła w oczach. Ceglane rumieńce i ustawiczna gorączka. Kaszel głęboki, męczący. Ale zawsze musiała wiedzieć, o czem mówili, więc nieraz chciała, by otwierali drzwi do jej pokoju, a gdy jej było gorzej, musieli przynajmniej zdawać sprawę. Wtedy mówiła im, co złe, co dobre i co sama o tem myśli.

Posiedzenia teraz odbywały się bez czytania. Były tylko referaty albo dyskusje na temat tego, co słyszeli, albo przeczytali.

Dzisiaj pani Marja czuje się trochę lepiej, a wie, że

będą mówić o bardzo ciekawej sprawie. O tem, co słyszeli od Olesiowego wuja. Mają się zastanowić nad historją Sokołowskiego i nad Michajłowem Rosjaninem. W związku z tą ostatnią sprawą mają omawiać swoje stanowisko wobec Rosjan, walczących z caratem. Wyszukują sobie teraz sami takie tematy, lubią bardzo rozprawiać. Nie dziwi się, już nie są dziećmi, już ogarnęła ich wiekowi właściwa chęć omawiania wielkich spraw. Ona tego nie przeżywała nigdy w cichym dworku na Żmudzi, ale umie odczuwać duszę innych, jak kwiat południowy najłżejsze poruszenie powietrza. Nie rozumuje, a czuje, co się w nich dzieje. Nawet teraz, gdy jest tak ciężko chora, czuje więcej, niż dawniej. Jakby była falą wielkiego morza, na której się odbija wszystko ze ziemi i nieba — i która drga na najmniejsze poruszenie. Tylko, że tamta fala nie czuje, a ona cierpi, raduje się, niepokoi. Niepokoi się więcej o to, co się w tych głowach teraz tworzy, co się w tych zebraniach przejawia, niż wygląd ich twarzy, ubranie, pieniądze.

O tamtem już nie myśli wcale. To już rzecz ojca, a zresztą wcale nie takie ważne, jakby się zdawało. Wie, że sobie radę dadzą, choćby wszystko stracili.

Prosiła, by zostawili drzwi otwarte, choć się przebieśli do dalszego pokoju, ale i tak usłyszy. Nie chcą jej przeszkadzać, bo czasem głos podnoszą, gdy się bardzo zapalą, a doktor polecił jej spokój. Ale to, co się tam dzieje, jest o wiele ważniejsze, niż jej zdrowie. Zmienić się nic nie może. Oni się ludzą, a ona wie, że na próżno. A może się wcale nie ludzą, tylko jej zasłaniają. Uszy ma nateżone, gdy dolatują głosy z tamtego pokoju.

Nie wszyscy ci sami. Niektórzy już dawno skończyli. Ten matematyk, który był wtedy w 6-tej klasie, już chodzi na uniwersytet, ale jeszcze czasem przychodzi na zebrania. Ziuk był wtedy najmłodszy, a dzisiaj już jest na ukończeniu.

Wszystko, wszystko idzie swoją koleją. Ale jej życie kończy się wbrew kolei. Przecież inne matki widzą wnuków gromadkę i mają cichą, pogodną starość, a ona odejść musi tak rano. Bo jej się zdaje, że tak niedawno zaczęła, że to jeszcze tak niedaleko lata, gdy była sama dzieckiem. A potem wyszła z domu dziadka, wesele i tyle dzieci. Ostatnie jeszcze takie małe. Kto je wychowa? Kto będzie czytał wieczorami, kto będzie wiódł nad wodę, by mówić prawdę najtrudniejszą o Bogu. Kto będzie ochraniał przed smutkami i przed najgorszym ze wszystkiego, szkołą? A jeśli to już obliczone w niebiesiech? Jeśli ona ma odejść, bo już jest niepotrzebna, bo już spełniła swoje? A jeśli Ten, który wszystko wie, obliczył, że tak lepiej? Nie rozumie tego, dlaczego miałoby być lepiej, ale czyż wszystko musi rozumieć człowiek? Stokroć mądrzejszy taki, który się poddał w pokorze, niż próżno rozum siłacy, by sobie odpowiedzieć. Bo przecież nie odpowie, skoro nie chciał Ten, który przed nami zasłonił jutro mgłami. Mgły gęste, czarne, nieprzeparte. Niejeden się cieszy, że prze-dał je okiem, a on tylko swoje oko zobaczył odbite o mgły.

Bo może trzeba tego, aby im było gorzej, kiedy odejdę stąd. Aby szli sami i hartowali się na ową próbę? Pamięta, jak każde z nich było dla niej nowym światem. Rozszerzała się dusza z każdym dzieckiem o inny świat. Żyła w niem, rosła w niem. Tyle razy przeżywała dzieciństwo, a coraz inaczej. I młodość wiele razy. Najpierw żyła jak roślina, oglądająca słońce i świat. Każda zdobycz światłości dziecka, była jej zdobyczą, śmiechem radosnym witana. Siła się budzi w maleńkich członkach, czuje każde jej zwycięstwo. A potem rozkosz słowa. Słowo z myślą wybiega z tamtego światka, jej światka do innych. Nie od niej, bo to własne. Myśl rośnie, rośnie jak kwiat, jak drzewo. Potem ją przerasta coraz więcej. A ona dosięga jeszcze gałązek, choć tak wysoko wyrósł. Jeszcze z niej czerpać mogą, gdy przyjdą ciężkie chwile. Wszystko,

wszystko im odda, wyschnie sama, a odda. Mdłe ciało odmawia posłuszeństwa, rwie się dusza daremnie. Dusza, która żyje w nich, jest młoda, pełna zapału, wiary płomiennej. Idą walić stary świat. To tylko ręce, niedobre ręce odmawiają posłuszeństwa i nogi słabe i płuca, najgorsze płuca.

Z odległego pokoju dochodzą głośniejsze rozmowy. Słysz. Opowiada któryś o Sokołowskim.

Zastrzelił się z rozpacz. Nikt go za to potępiać nie może, tylko kwestionują co innego. Taka różnica zdań, tak się ścierają. Ciekawa, co też Ziuk powie. Ale nie słyhać wcale jego głosu. Tylko Waleś, głos Wróblewskiego coraz donośniejszy.

Słowo honoru, dane w takich warunkach nie obowiązuje. Gdyby wszyscy szlachetni tak postępowali, nie byłoby więcej ludzi porządných na świecie. Wszystko stałoby się łupem przemocy. Gdy już raz był w Turcji, powinien był wsiadać na okręt i z ziemi wolnej powiedzieć im: Do zobaczenia. Ale do zobaczenia dopiero wtedy, gdy będę miał armaty.

Słowo honoru daje się człowiekowi. Słowa honoru nie daje się trzodzie w chlewie.

Znała tę historję, wie, że to wypuszczenie za słowem, że wróci, oddało Moskałom olbrzymie usługi w wojnie z Turcją, a potem gdy wrócił, na podaniu, by go choć zbliżyli do rodziny, powiedziano cynicznie, że ludzie z charakterem są dla nich bardziej niebezpieczni, niż podli.

Z natężeniem słucha, jak mówią o tem. Zdaje się, że już dusza opuściła wątłe ciało i staje w naprężeniu, jak żołnierz, na straży.

Mówi Felix, kolega Bronisia.

A ja bym zrobił tak samo. To jest, może bym nie miał tyle siły, ale chciałbym zrobić tak samo. Bo mi się zdaje, że on zrobił dla Polski więcej, niż gdyby żył.

Że bydlętom dochował wiary? A oni bydlętami zosta-

na. Przecież im tylko idzie o to, kto bardziej niebezpieczny, człowiek, któremu można wierzyć.

A bo on był bardziej niebezpieczny i ze swego punktu widzenia słusznie się bali.

I z ich punktu widzenia zrobił lepiej, że się usunął sam i że im wlaź w paszczę, ale nie z naszego, z polskiego.

A polski punkt widzenia niekoniecznie jest taki. Nie ulegajmy poezji, bo możemy być poetycznie wyróżnieni.

Ale honor to jest taka rzecz, że musi być wobec każdego. Albo jest, albo go nie ma.

Ze wszystkim tak samo. Jest, albo nie ma.

A nie ze wszystkim. Bo bez wielu rzeczy można się obyć, a bez honoru nie może żaden naród. Przecież i Rzymianie dawali za wzór swego Scewolę, czy Regulusa.

Postąpił tak samo. Wrócił, bo mu wierzone, że wróci. Jeżeli nawet takim zbirom nie złamiemy wiary, to zyskamy imię Zawiszy.

Dlaczego on nic nie mówi? Tylu ich słyszy, a jego wcale nie. Tylko na to czeka. Czekaj, czy nie rozstrzygnie sprawy, a on nie mówi.

Znów głośnie.

Bo widzicie, nie sami tylko Polacy szli taką drogą. Michajłow mógł także ocalić się kłamstwem, a nie chciał.

To co innego. On chciał wstrząsnąć swoich przykładem.

Ale pomyślcie. Dwadzieścia lat ciężkich robót, Sybir, katusze i wytrwał. Jest w tym narodzie siła kolosalna, która przetrwa carat i zwycięży. I to, że go lud wielbił, jak świętego. Że męczony i prześladowany był dla nich czemś wielkiem.

Słucha coraz chciwiej, na twarzy występują rumieńce. Mówi Max, który już szkołę skończył, a jeszcze przychodzi na kółko. Nie bardzo go lubiła, ale wierzyła, że był idealistą. Widzicie, przeszłość nasza z nimi, z tą lepszą

częścią narodu. Sami nie zrobimy nic. Musimy się z kimś sprzymierzyć, a oni warci tego. Mickiewicz także tak myślał, gdy poznał Rosję. Mickiewicz wierzył w rewolucjonistów. Oni przemieniają świat.

Dlaczego on wciąż nie mówi?

Gdybyście się lepiej zapoznali z temi księgami... Tylko tego czytać nie można pod ławą, bo gdyby wpadło w ręce, to gorzej, niż za naszych poetów.

Nasi poeci, to już przeszłość. Dla swoich czasów powiedzieli, co było dobre wtedy, a tu trzeba szukać dalej. Zresztą ich obniża jedna rzecz. Nie widzieli nic, poza ojczyzną.

Oni nie mogą być zrozumieni przez świat, bo kochali za bardzo swoje. A tu idzie o całego człowieka. Wszystko jedno, kto on jest, z jakiego narodu. Przyjdzie czas, że narodów nie będzie, a tylko ludzkość.

Chora poczęła kaszleć okropnie. Zamyka sobie usta, aby nie przerywać. Ręce jej drżą, chce słyszeć dalej.

Nieprzyjacielem będzie nie naród narodowi, ale uciskający uciskanemu, biedny bogatemu, wyzyskiwacz i próżniak pracującemu. Nie będzie takich, co żyją potem i krwią nędzarzy, nie będzie takich, co z przesyty gina, gdy braciom ich głód wykreca wnętrzności, a oni patrzą i śmieją się. Nie będzie pana i sługi, dającego i biorącego, nadymającego się i kopanego, gdy się przewycięży ostatnią zaporę ku zrównaniu człowieka: nacjonalizmy. Bo widzicie nacjonalizm to takie samo kochanie siebie, jak wszelkie inne. Kochasz, że twoje, a nie możesz pojąć, że on drugi naród ma takie same prawo do bytu, jak twój. To są bałwany. Ojczyzna, rodzina, religia, honor.

Stare, zużyte, egoizmu pełne społeczeństwa, które chcą ocalić swój stan posiadania, wymyśliły wszystko, by złapać masy. Chodzi o panowanie mas, by im służyły. Opanować nie można mieczem na czas dłuższy, więc się stworzyło bałwany. Ale bałwany runą, gdy przyjdzie poczucie siły w masach.

Widzicie, siła znaczy wszystko. Światem rządzi siła. To jest walka mocnego ze słabym. Kto słaby, runie, a kto mocny, wygra.

Pani Marji drżą ręce. Cała w słuch zamieniona. Płacze. Oni słuchają, nie odzywa się nikt.

Porwała młodych wizja.

W tej walce sił zwyciężyć musi młody. Młode są masy niezużyte jeszcze, nie zniszczone bogactwem, energii pełne. Tylko, że ciemne jeszcze. Gdy się uświadomią, zwyciężyć muszą. I wtedy nastanie ten cudny świat. Równość, braterstwo, szczęście.

Czy to nie takie same sny poetów? Tylko, że może mniej realne, niż tamte?

Słysz, słysz dobrze. To jego głos. Nareszcie przemówił — nareszcie.

Bo tu trzeba się liczyć z rzeczywistością, jak mówicie sami. Faktów nikt zmienić nie może. A najważniejszym faktem jest to, co wrodzone człowiekowi.

Wrodzona człowiekowi jest miłość tych rzeczy, które wy nazwaliście bałwanem. I jeszcze wolność, raczej dążenie do wolności. Aby prawdę zdobywał sam, jak potrafi. Jeżeli tego nie uwzględnicie, runie cała budowa.

Zdusiła dławiący kaszel, słucha. Jest coraz spokojniejsza. Każde słowo tam obliczone i ani jednego za dużo. Każde słowo ma swoją logikę przygniatającą i takie jest, że już się nie boi niczego. Niczego się już nie boi.

Teraz widzi, że się wszystko bez niej stanie. Ona przejdzie, jak wszystko, co wypełniło owe przeznaczenie. Jak przechodzą kwiaty, gdy owoc wydały, liście, gdy nie potrzeba cienia i całe drzewa, kiedy już rosną nowe.

Ziuk mówi prawdę swojej ziemi. W nim żyje to wszystko, na co pracowali oni. Nie da się porwać szumem słów. Korzeniami tu wrósł i nikt go nie wyrwie. Temci pewniej sięgać będzie nieba myślami, co mają oparcie.

Nie słyszy już dobrze, co mówią dalej, tylko jeszcze

to, że za Zukiem jest większość. Nie wie, jak długo trwała ich młodzieńcza dysputa, bo ją siły zupełnie opadły i zmożył sen.

A gdy wszedł potem, by jej opowiedzieć o zebraniu, zobaczył twarz bladą i bardzo pogodną. Zwiędłe usta rozchylił nieznacznie śmiech. Taki, z jakim odchodzi człowiek spracowany po dobrze spełnionym trudzie.

Odszedł cicho, pełen młodzieńczej nadziei, nie przeczuwający nic złego.

Najważniejsze słowa.

W parę tygodni potem nastąpiło polepszenie. Przez dom rozeszła się wieść, że mamie wolno wstać z łóżka. Cieszyli się wszyscy, myśląc, że zdrowie wróci i będzie w domu dobrze, jak dawniej. Ona jedna wiedziała, że nie. Usiadła na fotelu i czuła, że to już raz ostatni. Twarz jej od tamtego czasu jeszcze wysubtelniała i w tym dniu znać było blaski dawnej, niezwyklej urody. Były nawet chwile, w których oczy nabierały przedziwnego światła i tęsknoty, a ich szaro-zielone źrenice wyglądały jak morze o poranku, gdy jeszcze zasłaniają mgły, a już pada pierwszy promień słońca. Można wtedy patrzeć i patrzeć w tę tajemniczą zielen wody i dać się pochłonać mądrości, która spływa na świat z nieskończonej głębi. Człowiek odchodzący pogodnie ma tę mądrość morza w źrenicach, a jego ostatnie spojrzenia oddają ziemi wszystko, co zdobył, idąc przez nią.

Twarz, zarumieniona gorączką, wyglądała jak róża ścięta, biała i rosą poranną oświetlona. Jeszcze na niej widne kwiatowe, senne rozmarzenie i nie znać przez chwilę, że zerwana brutalną ręką od pnia.

Przywołała do siebie Ziuka na czytanie. Muszę przeczytać to, co jest najpiękniejsze i nad co nie ma większej

mądrości. Nie pamiętasz pewnie, że ci obiecałam to czytanie kiedyś, gdy wybije godzina.

Ale on nie przeczuwał niczego w beztrosce młodości.

Spojrzenie matki słoneczne, ostatnie. Kiedy ten promień zgaśnie, nie pokaże się już nigdy przenigdy w życiu.

Ale on o tem nie wiedział, że gaśnie. Czytała i mówiła sama jedna, choć ostatkiem sił, a on nie czuł, że jej tak trudno i że oddaje teraz resztę życia dla niego. Tylko ciszej trochę mówiła, ale przecież w słowach dźwięczy tyle zapалу, twarz taka przejęta, jak wtedy.

Wtedy, kiedy czytała w Zułowie jemu samemu w ogrodzie.

A potem przyszła ta burza i skończyło się życie w Zułowie.

A ona mu opowiada, jak się Bar bronił przed Moskalami.

Już wszyscy wyszli, bo nie mieli nadziei. Nawet przeor i żołnierze.

A tylko został on. Ksiądz Marek, Karmelita i garstka biedaków z nim. Tacy biedni, którym ciążyło życie.

A on został, aby był protest choć jeden jedyny wobec Boga i Polski i świata.

To był protest ducha.

Który jest ważniejszy, niż wszystko, co jest na świecie, a może być tak wielki, że stanie za ofiarę narodu, gdy naród nie był jeszcze do niej zdolny.

Oparła się o fotel i zadumała.

Oto kiedyś tam w Zułowskim parku siedziała cudowną wiosną, gdy żyła jeszcze Elżbieta. Po raz pierwszy zrozumiała wtedy wielkość słowa w tej książce zawartego.

Cudne przebudzenie kwiatów wlało do duszy światło niebieskie.

I zaprawdę nasze dzieje,
Gdy nas srogi los połamie
Pachnąć będą w tym balsamie
Długo w umarłej krainie.

Bo to jest taki dziwny ciąg między temi, co przeszli,
a tem, co jest.

Tak, jakby dusze odchodząc rzuciły promienie
wieczne, które idą przez świat i budzą dusze nowe.

Błogosławione wy drzewa,

Błogosławione wy kwiatki

Rosnące na kraju męczeństwie.

Ona tak będzie błyszczeć mu w Bożem słońcu, kiedy
oświeci rano kwiaty na łące. Będzie mu kwitnąć w kon-
waliach leśnych i ślać zapłakane oczy macierzanki, gdy
będzie smutny.

Nie minie.

O czym tak myślisz mamó?

Widzisz, on nie był smutny, choć opuszczony przez
wszystkich, bo wiedział, że ma za sobą moc prawdy.

Największą, jaka jest na świecie, niewyciężoną. Więc
tak mógł mówić przed swym zgonem:

Kto jest, co się Boga nie boi?

Oprócz trupów, kto nie zadrży przed Panem?

Ja sam jeden, okryty łachmanem

Zakrwawiony, knutem zbity.

Ja sam, który za naród cierpiałem

Ja sam, który memi jelity

Pałem serca i serca kawałem

Nakarmiłem tych, co serca nie mieli.

Ja sam jeden stoję w bieli

I śmiem spojrzeć ku Panu ogniście

I zawołać nań o sprawiedliwość.

Oto naród mój, jak zwiędłe liście,

Oto zdrady i serc niegodziwość,

Oto pierwsza niewoli godzina,

Co się przez wiek ciągnąć będzie.

Przerwała, spojrzała mu głęboko, badawczo w oczy,
a w jej spojrzeniu była radość niewysłowiona.

Więc to już tak niedługo, że prawie dotknąć ten
dzień.

Nie odpowiedział nic słowami, ale zrozumiała, że wie

Kto mnie słucha, ojczyźnie niech powie,

Że sztandar zatknąwszy w Barze

Ległem sam na tym sztandarze,

Broniąc go duchem i ciałem,

A przy śmierci sam jeden zostałem.

Więc, gdy wybije godzina, którą już słyszę,

to tak musicie stanąć wy.

Nie będziecie już wtedy sami,

To się powtórzyć nie może.

Nie powtórzy się nigdy, przenigdy.

Bo dziwnym my jesteśmy narodem, który opuszcza
zawsze swe najlepsze dzieci i wszystko, co wielkie, spycha
w dół.

Ale to nic — widzicie — to nic.

Teraz odezwą się mali, biedni ludzie, którzy już zro-
zumieli.

Musisz takich powołać — musicie razem iść.

Mało ich będzie na liczbę, ale ukochają sprawę nad
ludzkie wyrazy i będą ci wierni do śmierci. Bo wierni
będą Jej w tobie. Jeżeli pójdziesz w imię ich świętości,
która żyje głęboko w sercu.

Spojrzenie oczu siły pełne stalowej, nieśmiertelne.

Nie będzie już oczu żadnych na świecie, a ono będzie
trwać.

Czy ty synu pamiętasz, jak ci raz czytałam w Zułowie,
gdyś mały był jeszcze?

„Anioły stają na rodzinnych polach“.

Pamiętam.

Tyś pewnie nie rozumiał jeszcze, a tak uważnie
słuchałeś?

Zdawało mi się, że słyszę muzykę ładniejszą, niż kie-
dykolwiek słyszałem. A teraz już rozumiem jej sens.

Może jeszcze i teraz nie synu, może jeszcze przejść
muszą lata. Wtedy przypomnisz sobie, co ci powiem
dzisiaj.

Wieki minęły, a to tchnienie Boże
I to owianie ogniem naszych ramion
Wraca, ilekroć w prochu się położę.
Na mych mogiłach, na łachmanach znamion,
Dlatego z ducha nigdy się nie trwożę,
A bladnę, kiedym ciałem jest omamion
Na walkę z formą przeznaczony wieczną,
Aż Jeruzalem sprowadzę słoneczną.

To jeszcze dzisiaj taka cudna muzyka dla ciebie, jak
tamta. — Kiedyś...

Nie mogła mówić więcej. Twarz stawiała się blada,
jak mgła, gdy odchodzi ze ziemi.

Blada twarz niknąca i jego błysk oczu stalowy, bez
słów mówiący wszystko.

Będą cię opuszczali nawet wierni, nie rozumieją.
Wiem to, wiem.

A im wyżej, tem mniejsza gromada. Czy nie ustąpisz?
Nigdy, przenigdy.

A tam najwyżej, pod stopami Boga będziesz już sam
jeden tylko. ●

Sam jeden i nikt z tobą.

Nie ustąpię.

Bo taki los synu wszystkiego, co tyka nieba.

I nic, że tak jest — nic.

W obliczu bezmiaru

Nie sięga tam ludzkie słowo,

Ani cię znieważyć może, ani dotknąć.

Podleci i zaraz upadnie.

O jedną chwilę tam być!

Skarb zakopany a żywy.

A potem jeszcze dni kilka męki — walka duszy
z ciałem.

Odprowadzał ją na spoczynek wieczny do Sugintów
orszak długi kochających ludzi. Dzieci, mąż, krewni,
przyjaciele, służba.

Przyjechali chłopci z Zułowa i nieśli wieniec polnych
kwiatów.

Szli ubodzy, którym dawała wsparcie i młodzi, dla
których była opiekunką. Szły rzesze żałujące, że odchodzi
dobra, przedobra pani, taka młoda. I że zostawia tyle
dzieci.

Ale nikt nie wiedział, kogo do grobu złożyli.

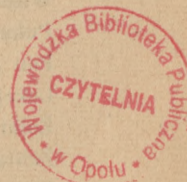
Nie wiedział tego nikt z ludzi,

Ani jaki skarb z nią zamknięty,

Jaki olbrzymi skarb złożony w grobie,

Ani tego, że żyje w duszy,

Głęboko, na samym dnie serca.



SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
Cienie	3
Leciały ptaki	4
W Zułowie	5
Dary	11
Pamiętnik	15
Szli i śpiewali	19
Jeden raz	25
Idziemy sami	27
Wigilia	33
Wiosna	38
To zrobił człowiek	43
Odchodzę	50
Bajki	56
Sam z siebie	66
Testament	69
List z Sybiru	73
Duszyczka	79
Anioły stają	83
Burza	85
Wilno	91
Pukanie do drzwi	99
Pan Adam	104
Lekcja historii	109
Żółkiewski	118
Zebranie	125
Wracają	128
Ostatnia bajka	132
Pytania	135
Najważniejsze słowa	142
Skarb zakopany a żywy	147

B 15.- K 44

200

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 317085



000-317085-00-0

